N. 36. WARSZAWA d. 28 Sierpnia (9 Września) 1871 ROKU.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Szach i mat.

Raz w altanie, w gaiku,
Przy szachowym stoliku,
Młoda para grających siedziała.
Walna bitwa się toczy,
Tam dziewicy i oczy
I uwaga zwrócona jéj cała.
Lecz młodzieniec grający,
Zachwycony, marzący,
Roztargnionem grę śledził już okiem,
Bo on pieścił swe oczy,
Jasną barwą warkoczy,
On się poił dziewicy widokiem.
Oko ogniem się żarzy,
Zachwycenie na twarzy,
Czoło jego pogodą jaśnieje,
Nikt ciekawy nie spyta,
Bo wnet łatwo wyczyta:
Co tam w sercu młodzieńca się dzieje?
„Szach królowi!" mój panie,
Prędko mata dostanie —
Już go nic to obchodzić nie może...
Trzeba jego uprzedzić,
Trzeba jemu powiedzieć,
Że... lecz cóż to, pytam, pomoże!

. . . .

Przeszła chwilka... niestety!
Szybko grają kobiety!
Już naprawić się nie da ta strata!
Król się wpatrzył w królowę,
I postradał już głowę.
I nieborak strasznego wziął *mata!*
Już stoliczek na stronie,
Ku młodzieńca obronie
Darmoby się już rada spieszyła!
Bo on grę już porzucił,
Do nóg lubéj się rzucił,
Bo już gra się ta matem skończyła!

Stanisław Grudziński.

WINCENTY POL
JAKO PROZAIK,

Studjum K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg.)

III.

Z obszarów morskich, przechodzimy na obszary stepowe. Dla człowieka, co własnymi oczyma nie widział dwóch tych majestatycznych utworów natury, rzadko który opis, może je w malowidle prawdy, wyobraźni naszéj przedstawić. Bo niedosyć pochwytać wszystkie szczegóły, jakie się zdumionemu objawiają oku, i wiernie je oddać, potrzeba duszą artysty wniknąć w nie, i podsłuchać tę tajemniczą mowę, jaką *gadają fale* morskie i *patrzy* na nie *niebo*, zwiastując ciszę i pogodę, lub zapowiadając straszną burzę; co *szepcą* szmerem swoim bujne trawy i *bodjaki* stepowe, albo krzewy i rzadkie drzewa na rozległych a bezludnych równinach.

Dziwne też za prawdę człowiek odbiera wrażenia, kiedy pierwszy raz ujrzy wspaniały obszar nieprzejrzany okiem morza, po którego wodach przesuwają się okręta, czy dymem z kominów parowych kotłów—tworzące ciemne chmury, i brudząc błękit niebios smugiem tym znaczące swoją drogę, czy rozwijając białe żagle, co jak chorągwie zwycięzkiego hufcu — płyną naprzód niepowstrzymane żadną siłą, a jakież przerażenie nie przejmie duszy najmężniejszego człowieka, kiedy się znajdzie na morzu w chwili rozszalałéj burzy, i widzi że wszelkie środki ratunku nieprzydatne i zdać się jedynie potrzeba na Bożą pomoc i opiekę.

Dobrze nasi ojcowie mawiali: „Kto nie umie się modlić, niech żegluje po morzu", bo zaprawdę wśród rozhukanych fali, poświstu wichury, i bijących piorunów z pośrodka tych chmur czarnych, jak czarne fale najtwardsze serce skruszeje, i uderzy w modlitwę z pokorą.

Widok téj przestrzeni, któréj oko niedosięga brzegów, huk grzmotów, błyskawice dział z okrętów które gardzielą ich metalową krzyczą o ratunek, mięszający się z błyskawicami niebios,—wrzask rybitw morskich które na masztach statków szukają ocalenia, — bielejące przy tych połyskach płachty żagli — co teraz podarte wiatrem, powiewają jak sztandary niechybnéj śmierci,—wszystko daje obraz tak wielki a przerażający, że serce bić przestaje — i myśl zamiera.

O! jakżeż w téj strasznéj chwili, drogą jak życie jest ziemia, jak jéj dusza pragnie gdy ochłonie z trwogi, z jakąż rozkoszą uczuwa ją pod swymi stopami i oddycha swobodnie całą piersią — kiedy bezpieczny od fal morskich, stoi na wyniosłym wybrzeżu, i spogląda spokojnie jak bałwany pieniste rozbijają się bezsilnie o wał ziemny, albo skały granitowe i wracają na powrót.

Nagle świat się zmienia, gdy przechodzisz na nieprzejrzane stepy — gdzie właśnie braknie wody i tylko widzisz obszary tak wielkie jak morze, po których poświst wichury równie silny, ale w innych tonach hulać zaczyna, i podmiatane lotne piaski, zamienia w ciemne chmury, sypiąc ich żarem na wędrownika, co śmiał na koniu ukazać się w téj ziemnéj pustyni. Albo też nagle zdumiewa oczy, bujną roślinnością, wielkiemi stawami, i zachwycają go malownicze *futery*.

Ale te obrazy tak wielkie, tak wspaniałe, żeby wiernie odzwierciadlić martwym pismem, potrzeba

i potężnego talentu, i na wskroś być prawdziwym poetą. Oba te warunki *Pol* w sobie zespala.

W dwóch ustępach: „*Z krain stepowych*" i „*Ze stepu*", podaje nam wizerunek stepu, pełen uroku i pierwszy rozpoczyna poetyczną przygrywką:

Niemo a niemo stoi jak zagadka
Stara mogiła w stepach usypana.
Jakimże różnem a różnem obliczem
Ku niebu patrzy z tego wyniesienia?
Jakimże głosem dziwnie tajemniczem,
Do żyjącego mówi pokolenia?

Łączymy dwa te ustępy, dla dania dokładnego obrazu stepu.

„Piękną jest roślinność stepów na wiosnę: (mówi Pol) i dziki *szparag i tulipan* polny wykłuwa się z ziemi. W majowych trąbkach zwita pnie się trzcina do góry. Szumnie idzie burzan i łoboda, ostro idzie oset, a gdy później trawa wyrośnie, to trawy wpas, burzan wyżéj głowy a w bodjakach uchowa się chłop na koniu i z dzidą, i jest do czego konia uwiązać.

„W téj puszczy bodjaków, w tym morzu traw niezbrodzonych, przeżywia się mnóstwo niespłoszonego zwierza i dzikiego ptastwa wszelkiego rodzaju. Jak nad morzem, przeciągają nad stepem łańcuchy żórawi. Tabun dzikich koni przegania puste pola. W trawach leżą woły stadami. Dropie gnieżdżą się w zbożach, a nocują na otwartych przyczółkach, po jeziorkach tłucze się dzikie ptastwo. Lis przemyka komesze, wilk obywa w ozceretach!

„Czujnie strychuje wyżeł i chwyta wiatr z wysoka! Tam, burknęła kić kuropatw — tu zerwał się z pod nogi zaspany puchacz stepowy. Na wznak przewrócone zamróżywszy oczki, grzeją się pardwy od słońca, a na nie bije sokół z góry! Susły i homiaki ryją odłogi. Czasami przemknie dzika koza lub polna łasiczka i zginie w bodjakach.

„Zwierzchu stoga klekoce na żer młody orlik. Po zacisznych uroczyskach, staczają ptasze boje sporne bataljony. W stadach zbierają się stepowe kuliki i ciągną w żórawiem szyku pustkowiem, pod tarninką siedzi w miejscu gracz zając, a w wielkich kołach okrąża stepy orzeł zaporozki!"

Panujące wiatry są tu wschodnie, przeciągłe i ostre, okropne jesienią lub wczasie zimowych zadymek! Rzadki dzień spokojny, tylko wieczorami ucisza się wiatr. I uroczą jest ta cisza wieczorna w powietrzu, po wietrznym i burzliwym dniu!

W czasie upałów letnich, powiewa od wschodu wiatr letni spiekły: aż na brzegach Wołgi i po słonych bezwodnych stepach, rozpalone powietrze wali się wschodniemi wiatry, niesione spiekłą powodzią na Dniepr, i cała noc niewystarczą nieraz na wychłodzenie téj spieki. Kiedy po zupełnem uciszeniu się wiatru, słychać tylko lekki szum trawy, a potem znowu nowe fale rozpalonego powietrza na zmysły uderzą, zda się, jak gdyby z grzejącego pieca upał powionął, zwierz szuka jamy, ptastwo sowieje, roztwiera dzioby i opuszcza skrzydła, a człowiek opada z sił i z myśli. Termometr wznosi się na ówczas nieraz na 30, a nawet 34 stopni ciepła w cieniu.

„Wówczas to także okazują się i tutaj błędne obrazy *majaków stepowych*, (tak zwane *Fata morgana*.) Te powszednie zjawiska równych pustyń i stepów, nieprzedstawiają tu widoku rozkosznéj, palmami porosłéj oazy, widoku grającego morza lub miast wschodnich, ale według miejscowości, szeroko rozłożone tabory koni i ludzi na stepach, widoki stogów, brogów i stada bydła; na wpół tumanem kurzawy od dołu osłonięci, pomykają wówczas jeźdni i niby zbrojni gęsiego po stepach, i giną w rozległych uroczyskach oku."

Dziwne zjawiska wyprawiają tu także i wiatry. Kiedy wałami z kurzawą lub śnieżycą idą, bywają one *tumanami* zwane, lecz kiedy młyńcem kręcą nazywa je lud *złym wichrem*. Na równinach wieśniacy zwą te trąby wichrowe, *djablim tańcem*, i utrzymują, że rzuciwszy nowym, poświęconym nożem, w środek tego wiru, pojawi się djabeł przybity za nogę do ziemi, i pokorny wypełni wszystkie żądania człowieka.

Takie *trąby wietrzne*, zdarza się nieraz że całemi godzinami ze stepu na step przenoszą się, i całe pokosy trawy lub zboża w górę z sobą porywają. Wiatry te przyczyniają się po części niemało także do urodzajności tych tęgich ziem. Ogromna skiba, którą pług sześcią lub ośmią wołami ciągnięty, zaledwo odwalić jest wstanie, połyska czarno na twardym ugorze, i jak ił nieużyty leży zlepiona, a przecież przejmuje ją wiatr wschodni tak silnie, iż się skalisty pokład skrusza i w popiół rozrabia.

Trąby wietrzne, gdy na wzgórzach piaszczystych kręcić poczną, nieraz nagle i niespodzianie, odsłaniają szeregi urn glinianych z popiołami zmarłych, które praojcowie zakopali tu wtedy, gdy w około szumiały gęste bory i nieprzebyte puszcze.

Kiedy po ulewach nagłe posuchy na stepie pochwycą, wówczas kamienieje ziemia na wietrze, i staje się podobną do zimowéj grudy. Tenże sam wiatr wypala oziminy na polach i niszczy rozkoszną roślinność stepów, a już na schyłku wiosny lub w połowie lata, smutnym jest ich widok.

Piękną jest noc na stepie! czasami nadwieczorem ucisza się wiatry, i tak spokojnie w powietrzu, iż nawet gwarliwe miskną oczerety, a jak we dnie kierunek stepem na mogiły, tak nocą na gwiazdy. Głęboko roztwiera się niebo, i jaśniej niż nad puszczami wyiskrza się *mleczna* droga. Koń chociażby znużony, rzeźwi się chłodem i dziczą, i strzyże czujnie uszyma a głucho na milę tętni ziemia tabunami zbita.

Spokojnie pod mogiłą gore ogień nałożony z wyschłego burzanu. Słychać lot dzikich kaczek, wracających stadami z żeru na jeziorka. Szumnie wachlują lotkami wśród ciszy.

Za łupem lecą ziemne sowy i wrzasną czasami! przepiórki wabią się w zbożach, bąk wodny huka po trzcinach.

„Równo i płasko, jak krąg czarny, leży świat stepowy — nizko, po krańcach tego kręgu, gasną ostatki zorzy zachodniéj, a na krótkiéj *Swięto-jańskiéj* nocy, zaledwo zgasła na zachodzie, a juźci świta od wschodu, i zda się, że się jéj jasność tylko po krańcach ziemi przesunęła.

„Mgły lekkie słać się poczynają, gwiazdy blednieją — ognisko popieleje. Koń grzebie pod sobą, śpiący step się trzeźwi, a gdy słońce podejdzie, zrywa się znowu wicher stepowy od wschodu!"

Czytając ten opis tak krótki, a tak malowniczy nocy stepowéj, przyznać każdy musi, że pochwycony jest żywcem z natury, we wszystkich swoich szczegółach, i w całości stanowiący tak uroczy obrazek.

Do rozmaitości, która znamionuje roślinność krain stepowych, należy w głębi jarów „*roślinność wodna*" na wysokości otwartych pól i stepów „*roślinność futorów*", które są tem na stepie trawnym czem oazy na pustyni.

„Po mili i więcéj można nieraz czółnem lub saniami jechać wszerz, wzdłuż tych ogromnych stawów przerosłych oczeretami, a są stawy, które dwu i trzymilową przestrzeń zajmują od wierzchowiny do grobli. Osobny to tedy świat, co się tą roślinnością wodną okrył i na wpół z wód wychyla. Wieków potrzeba było na to, aby się z korzeni roślin wodnych utworzyły wyspy i ostrowy, osobne prądy rzek wśród wód stojących, które nieporastają trzciną, ale się lasem niby tylko przewijają kręto, dzieląc wielkie oczerety na międzyrzecza i kępy, na las nieprzebyty, lub odlewając wielkie zatoki odkryte, które *haławami* nazywają.

„Do najosobliwszych zjawisk i widoków należą tak zwane *spławy* na tych stawach. Są to pływające wyspy i ostrowy, które się już lasem rozrosłych dębów i olch pokryły, niekiedy tak wielkie, że na nich się stada bydła i koni pasą. Widziałem jak na pomniejszych *spławach* przewożono jak na tratwach ludzi, bydło zjednego brzegu stawu na drugi, popychając się *kułami* po dnie stawu: największe też ostrowy, a nawet takie co drzewami porosły, popędza wiatr po zwierciadle wód, i ztąd wróżą na pogodę, lub na słotę, kiedy pływająca wyspa od tego lub owego brzegu odbiła lub przybiła do grobli. Odmienia to całą fizjognomię stawów i okolic, i takie *pływające wyspy*, są to rzeczy nigdzie indziéj nie widziane.

Siadłszy w łódkę, można jak w wielkiéj puszczy jeździć i błądzić po całych dniach w tym lesie oczeretów, w których swobodnie żyją i gnieżdżą się nieprzeliczone stada wodnego, błotnego i trzcinnego ptastwa. Na rzędy tych stawów przypadają wielkie i małe ciągi ptastwa, a zachodni kraniec Podola i Wołynia jest wielkim pogranicznym szlakiem różnych dzielnic wędrownego ptastwa, które stadami w przelocie, spuszcza się na zwierciadła wód, i w każdéj prawie porze roku na tych stawach żer i bezpieczną znajduje gospodę. Pożary oczeretów na głuchéj jesieni lub zimą, należą do osobliwszych zjawisk tych krain.

„W lesie oczeretów, gdy je opuści ptastwo, snują się wilki i lisy, podchodząc nieraz ku wsiom i zagrodom gdy się stawy lodem pokryją, i do osobnego rodzaju łowów należą polowania po trzcinach."

Wspomniawszy o *Futorach*, które należą do wydatnéj charakterystyki trawnych pustyń, są to ich oazy, ogniska skupionéj roślinności na niewielkiéj przestrzeni, które zrazu lasami na wpół zasiewają obszar Ukrainy: w miarę tego, jak coraz więcéj stepowy klimat nim przeważa, nikną lasy ku południowi i na wschód zupełnie, a tylko futory stają się ogniskiem skupionéj wśród stepów, wyniosłego paia roślinności.

(d. c. n.)

Korespondencja Tygodnika Mód.

Lwów 31 Sierpnia.

Przewodnik po Lwowie — Przedstawienie teatralne w letnim teatrze. — Fatalne fiasco planów pana Miłaszewskiego. — Dzisiejszy stan sceny lwowskiéj w porównaniu z pierwszem zawiązkiem teatru lwowskiego.— Koncerta Al. Chodeckiego — Notatki z podróży Juljana Klaczki — Nowe pismo — Gazeta literacka — Unia.

Miasto nasze nie obudziło się jeszcze zupełnie z tego letargu, w jaki je martwa pora roku pogrążyła. Zdaje się, że tegoroczna tak piękna jesień znacznie przedłuży tę porę, bo dotąd jeszcze lipcowa stagnacja panuje wszędzie a ruch nadzwyczaj powoli powraca do normalnego stanu. Korzystając z tego wyjątkowego położenia, który brakiem

nowin wszystkich tutejszych korespondentów dziennikarskich do prawdziwéj doprowadza rozpaczy, postanowiłem zaznajomić Czytelniczki Tygodnika z fizjonomią Lwowa, do czego wydany przed kilku tygodniami a w handlu księgarskim zupełnie już wyczerpnięty Przewodnik po Lwowie, wyborną nastręcza sposobność.

Z Przewodnika tego dowiadujemy się najpierw historyczną genezę stolicy galicyjskiéj, która obfituje w ważne, wesołe i smutne wypadki czasowe. Lwów powstał około r. 1270, jest więc miastem starożytnem, ale tylko nominalnie bo faktycznie nic w niem nie ma takiego, coby stwierdzało ten wiek poważny. Z wyjątkiem małego kawałka murów, które są szczątkami zamku wybudowanego w r. 1342 w całym Lwowie nie ma ani jednéj dzielnicy z cechą starożytną. Jeden tylko rynek wyróżnia się niepospolitą trochę konstrukcją kamienic, ale i tutaj cechę starożytną zatarli powoli niedbali właściciele kamienic, a stojący w środku rynku nowy ratusz zupełnie psuje wrażenie.

Z wstępu historycznego téj broszury pokazuje się, że Lwów był zawsze jednem z najbogatszych miast dawniéjszych bo stanowił stację handlową dla kupców ze wschodu udających się do Gdańska i innych miast handlowych. Słynęły także dawniéj w całym świecie jarmarki i targi lwowskie, na które zjeżdżali się kupcy z Persji i Turcji, Arabji a mianowicie Grecy i Ormianie. Ten ruch handlowy i liczne przywileje udzielane Lwowi podniosły ogromnie dobrobyt jego. Z tego powodu Lwów bardzo często stawał się celem wycieczek dzikich hord tatarskich które niéjednokrotnie złupiły miasto i spaliły prawie większą jego połowę. Z tych klęsk dzięki położeniu swemu i przywilejom, Lwów umiał się zawsze bardzo rychło podźwignąć i stawał się napowrót miastem zamożnem. Dziś także, chociaż handel zmienił swój kierunek, a stanowisko Lwowa stało się zupełnie odmiennem, stolica Galicji jest miastem bardzo zamożnem i zamożniejszem może od większej od niego Warszawy, jak to jeden z Warszawiaków w tutéjszych dziennikach liczbami wykazał.

Drugi rozdział przewodnika zajmuje się głównemi placami i ulicami Lwowa. Rozdział ten jest w porównaniu z poprzednim dość ubogim, bo stolica Galicji nie ma ani pięknych placów i ulic ani wspaniałych pałaców i budynków. Wszystko to jest jednostajne i bardzo nawet skromne.

Najwięcéj zwraca uwagę rynek, który stanowi kwadrat 77 stóp długi a 68½ szeroki! W środku jego stoi ratusz, całkiem nowy budynek odznaczający się tylko ogromem swoim, bo zalet architektonicznych nikt w nim dotąd nie dostrzegł. Opowiadają, że jakiś Anglik zwiedzający Lwów stanął zdumiony przed wieżą ratuszową i zanotował sobie w książeczce: Ratusz lwowski odznacza się kominem kolosalnym, jakiego nie ma w całéj Europie. Wieża ratuszowa jest 34 stóp wysoka a sam gmach zajmuje 156 pokoi, i 9 sal dużych i 382 okien. W ratuszu mieści się kilka zakładów naukowych i ciekawe archiwum miejskie, odznaczające się bogactwem i starannym układem. Koło czterech rogów ratusza stoją studnie z dużemi kamiennemi posągami, nad którémi pracować musiało dłuto niebardzo znakomite. Wschodnia i zachodnia strona rynku posiada kilka starożytnych kamienic z ciosowego kamienia, które wcale okazale wyglądają. Mianowicie zwracają na siebie uwagę kamienica księcia Kaliksta Ponińskiego, która dawniéj była własnością Sobieskich: kamienica w któréj mieści się księgarnia i czytelnia Wilda, narożna kamienica w zachodniej części naprzeciw katedry i kilka innych. Z resztą miasta połączony jest rynek siedmiu ulicami i placem katedralnym. Kościół katedralny, który się tu wznosi, odznacza się pięknemi rozmiarami i wyraźnym chociaż słabym zakrojem stylu gotyckiego. Obok katedry stoi bardzo ładna kapliczka ogrójcowa. Wnętrze katedry jest wcale okazałe. Plac katedralny sąsiaduje z najpiękniejszym we Lwowie placem Marjackim, w którego środku stoi studnia z piękną statuą Panny Marji. W tym roku plac Marjacki wygląda bardzo niekorzystnie, bo przy zamurowaniu Pełtwy i budowie gmachu dla banku hipotecznego zrobiono z niego wielki skład kamieni i cegieł. Skoro te budowy ukończone zostaną, plac Marjacki zmieni się bardzo korzystnie, bo przybędzie mu piękny gmach, a przez pokrycie Pełtwy znacznie rozszerzy się perspektywa na dwie długie ulice Karola Ludwika, i położone pomiędzy niemi równe i proste wały hetmańskie. Ta część miasta a mianowicie obie wcale piękne ulice Karola Ludwika zabudowały się niedawno. Przed kilkudziesięciu laty stały tu niepokaźne domki a większą cześć tylu ulic i placu zajmowały bagna. Obie ulice Karola Ludwika kończą się placem Gołuchowskich, na którym wznosi się piękny, ogromny gmach teatralny, założony przez hr. Stanisława Skarbka. Po za teatrem leżą rozległe wielkie przedmieścia: żółkiewskie, grodeckie i janowskie. Jestto część miasta zamieszkała przeważnie przez żydów i dlatego też wygląda brudno i niechlujnie. Na uwagę zasługują w téj części miasta trzy gmachy, położone na krańcach przedmieścia grodeckiego i janowskiego t. j. dworcy trzech kolei i bardzo wspaniały ale w nieszczęśliwem miejscu położony dom inwalidów, który wybudowany został przed kilkunastu laty.

Z ulicy Karola Ludwika i wałów hetmańskich wypływa w kierunku zachodnim cały szereg ulic równoległych, z których najpiękniejszą jest Jezuicka i łącząca się z nią Majerowska. Obie te ulice zabudowane są najpiękniejszemi kamienicami i przylegają do pięknego ogrodu jezuickiego, po nad którym wznosi się na znacznéj wysokości wspaniała katedra ruska św. Jura.

Po wschodniéj stronie łączy się ulica Karola Ludwika z placem św. Ducha, który sąsiaduje z rynkiem. Jestto plac mały ale wcale piękny.

Téj części miasta poświęciliśmy większą połowę naszego opisu, bo plac Marjacki i ulice Karola Ludwika koncentrują w sobie powoli cały ruch miejski. Rynek traci dawniejsze swe znaczenia i nie jest już dzisiaj może ogniskiem miasta. Z czasem zastąpi go plac Marjacki a zachodnia część Lwowa stanie się nowem miastem. Tutaj bowiem głównie rozszerza się Lwów, tu powstają nowe budynki a nawet całe ulice a miasto zbliża się niejako do dworców kolei żelaznych, które sąsiadują z rogatkami.

Wschodnia część Lwowa jest rozległą, ma niejedną piękną ulicę i rozległe przedmieścia jak n. p. Łyczakowskie i Piekarskie z pięknym cmentarzem, ale ruch jest tutaj słaby a fizjognomia ma wyraz posępniejszy niż w dzielnicy zachodniéj. W téj części miasta znajduje się kilka pięknych kościołów: starożytny piękny kościołek OO. Bernardynów, śliczna cerkiew wołoska zbudowana z ciosowego kamienia, kościół OO. Dominikanów z piękną kopułą i inne pomniejsze kościołki.

Północna część Lwowa zajmuje przedmieścia nędznie zabudowane i utrzymywane. Tu wznosi się góra zamkowa z pięknym widokiem na roztaczające się dalekie równiny i położone u stóp jéj miasto. W południowéj stronie bardzo słabo jeszcze zabudowanéj leżą przedmieścia: strujskie i zielone. W téj części miasta przy uliczce zwanéj obecnie literacką stoi gmach zakładu Ossolińskich, który pod każdym względem stanowi ozdobę całego miasta. Po nad biblioteką stoi na górze cytadela, słynna w całéj może Europie z téj zalety, że nie lubi bardzo huku działowego, bo mury jéj trzęsą się formalnie przy każdym strzale i grożą runięciem. W cale to oryginalnie wygląda, gdy w dnie uroczyste dla wojska całego, chcąc dać kilkadziesiąt salw musi wytaczać działa na plac przed cytadelą, ażeby jéj hukiem nie zbombardować. A trzeba wiedzieć, że cytadela niedawno zbudowaną została i pochłonęła miljony!

Jestto szkielet całego miasta. Nie chcemy oprowadzać czytelników po dalszych częściach i zaułkach bo nie ma tam nic ciekawego. Niepodobna także wyliczać wszystkie znaczniejsze zakłady i gmachy, bo zabrakłoby tu dużo miejsca, a nam zależało jedynie na skreśleniu najogólniejszych zarysów Lwowa, który częściom czytelników nieznany jest zupełnie znaczniejszéj części czytelników, dla swéj odległości od głównéj arterji europejskiéj komunikacji.

Zamykamy opis ten kilku datami statystycznemi. Lwów ma w mieście samem 7 placów, a na przedmieściach 11, ulic w mieście 28 a na przedmieściach 117, liczy 3,381 domów i 87,109 ludności stałéj. Do tego doliczyć należy załogę wynoszącą 12,000 i ludność niestałą. Lwów ma trzy metropolie, dwadzieścia kilka kościołów i 9 synagog. Dla dogodności publicznéj istnieje we Lwowie 87 hotelów i mniejszych domów zajezdnych, 116 większych restauracji, 36 kawiarń, 19 cukierni, 162 piwiarni i 500 pospolitych szynków, 9 browarów i 13 ogrodów z traktyjerniami, 2 dystylatury z 20 składami wody sodowéj, 9 piernikarzy, 80 piekarzy, 158 kiełbaśników, 7 handlów jajami, 33 handlów masłem i serem, 16 handlów naftą, 10 ogrodników, 82 rzeźników, 111 krupiarzy, 10 rybiarzy, 2 młyny parowe i 26 sklepów mącznych, 271 mniejszych kramów, zakład posługaczy i 298 fiakrów i dorożkarzy. Podług zatrudnienia ludność lwowska dzieli się na następujące kategorje: 382 duchownych osób, 360 literatów i artystów, 45 adwokatów, 6 notarjuszów, 59 innych prawników, 227 lekarzy, chirurgów i akuszerek, 49 posiadaczy gruntów, 1410 posiadaczy realności, 3010 fabrykantów i rzemieślników, 3710 pomocników rzemieślniczych, 1342 kupców i handlarzy, 1613 pomocników handlu, 4176 sług, 2446 najemników i zarobników. Kobiet i dzieci mieszka we Lwowie 38,772.

(d. c. n.)

OBRAZY
NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY
SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

(Dokończenie.)

Kostrzewski — Chełmoński — Kossak — Loeffler — Ruśkiewicz — Malinowski — panna Dukszyńska.

Niewielki obrazek p. Loefflera *Wróżba* ma bardzo wiele przymiotów, i gdyby nie silenie się w nim na efekt mógłby się nawet pięknym nazywać.

Treść w nim z dawnych czasów zaczerpnięta. W izbie dość skromnej, za stołem pod oknem siedzi stara kobieta kabalarka, i z ułożonych przed sobą kart wyciąga wróżby dla młodéj dzieweczki, niedaleko od niéj pomieszczonéj na krzesełku. Pomię-

dzy dwiema temi kobietami stoi młodzieniec towarzysz z dawnych wojennych szeregów, i pokręcając wąsa spogląda na panienkę, która z uśmiechem figlarnym odwraca się troszkę od niego, aby buzię swoją promieniejącą radością przedstawić widzowi.

Ten pokręt wąsa młodzieńca i ten figlarny uśmiech panienki, są następstwem pomyślnéj wróżby kabalarki, wyciągniętéj z figury karcianéj którą wskazuje prawą ręką a lewą ma troszkę podniesioną ku młodzieńcowi, widocznie szturmującemu do serduszka nadobnéj swéj sąsiadki.

W ułożeniu tych dwóch osób jest właśnie to silenie się na efekt, o czem powyżéj zrobiliśmy wzmiankę. Wróżba potrącająca o stosunek miłosny czy to kochających się dopiero, czy już narzeczonych, nie może w sercach czułych i poczciwych, wywoływać buty w młodzieńcu, ani kokieteryjnego uśmiechu w dziewicy. Owszem przeciwnie w podobnych wypadkach, w młodych kochankach obudza się pewne zakłopotanie się, niewinna wstydliwość, które nie przeszkadzają wybiciu się na szkarłat rumieńca utajonéj radości.

Ukośne spojrzenie młodego, ale nieśmiałe jakby mimowolne bez junackiego pokrętu wąsa, wstydliwe spuszczenie oczu w młodéj dziewoi byłoby tu właściwsze i więcéj zgodne z prawdą. Efektu naturalnością, taką wywołanego, sztuczny, wymuszony a wreszcie taki jakiego artysta użył w swym pomyśle, nigdy nie zastąpi.

Reszta w pracy téj wiele ma przymiotów. Kabalarka dobrze oddana, twarz jéj poważna choć nie bardzo przyjemna, ukrywa tajone zadowolenie z łatwowierności swoich gości. Dywan okrywający stół wróżbitki, pułki, okno, stołek, kot na stole w obronnéj postawie zwrócony do pieska, który ma ochotę skubnąć zębem nienawistne mu stworzenie, wszystko to odwzorowane starannie z właściwym kolorytem.

Znać że to stare graty, zużyte, podniszczone, wyblakłe i pyłem okryte, ale widocznie kiedyś były inne i tylko razem się ze swoją panią podstarzały.

Pana Ruśkiewicza kilka znajduje się prac na wystawie a wszystkie poświęcone różnym krajowym widokom. O artyście tym z prawdziwą zawsze mówimy przyjemnością, bo żaden może nie usiłuje tak starannie korzystać z rad i uwag publicznie wygłaszanych, jak p. Ruśkiewicz. Dawna nienaturalność kolorytu, a ztąd płynąca sztywność przedmiotów przedstawianych, ich że się tak wyrazimy wycacanie, wyszlifowanie znikły zupełnie, tak że dzisiejsze prace p. Ruśkiewicza z dawniejszemi nie mogą iść nawet w porównanie, jakby je inna malowała ręka.

W obrazach tego pracowitego artysty, dziś drzewa, trawa, ziemia, pnie leśne, woda oddane są naturalną barwą; powietrze przezroczyste, kolor chmurek, lazur nieba i perspektywa przedstawione wiernie i umiejętnie, tak że każdą pracę p. Ruśkiewicza z prawdziwą przyjemnością obejrzyć można. Może w tem wszystkiem nie ma dość lekkości, polotu, zachwytu a więcéj znać staranność i pracę, ale kto umiał z dawnym swym stylem zupełnie wziąść rozbrat, to i nowemu pomału nada cechy tak pożądane.

Chełmowa góra pod Przedborzem, krajobraz z nad Pilicy, stara plebanja, wszystko to widoki bardzo miłe, a nawet i kilka postaci do nich wprowadzonych, zalecają się wielkiem życiem i prawdą świadczącemi pochlebnie, że p. Ruśkiewicz nie same tylko widoki umie malować. Włościanin idący drogą, chłopcy ciągnący sanki z gałęziami, oddane są bez żadnego zarzutu. Radzimy artyście we wszystkich swoich widokach zawsze pomieszczać ludzi, nadaje to bowiem obrazom wiele życia i niezmiernie je urozmaica.

Dwa widoki p. Malinowskiego, przedstawiające jakiś nieznany nam krajobraz i Ostrowąs na kujawach, zalecają się wszystkiemi przymiotami niezbędnemi w pracach podobnego rodzaju. Swoboda lekkość, przezroczystość, staranność wykonania najdrobniejszych szczegółów, odskakiwanie od tła przedmiotów na pierwszych znajdujących się planie, perspektywa, wszystko to oddane z wielką prawdą i z niepospolitym talentem. Dwaj ci artyści p. Ruśkiewicz i p. Malinowski, w sposobie odwzorowania widoków wielce są zbliżeni do siebie, tylko prace p. Malinowskiego są delikatniejsze więcéj powiewne jak p. Ruśkiewicza.

Panna Dukszyńska przedstawiła portret pastelowy znakomitego naszego artysty p. Jana Królikowskiego. Podobieństwo wielkie, tylko koloryt oczów nienaturalny, a ręce zdają się być jakby niewykończone. To zapomnienie o tak ważnym szczególe dziwnem jest niezmiernie, bo artystka już nas przyzwyczaiła do staranności i wielkiéj baczności w pracy jakiéj się oddaje widocznie z wielkiem zamiłowaniem.

DROBNE SZCZEGÓŁY

Z ŻYCIA MUZYKÓW.

Sławny kompozytor włoski *Ruggiero* dawał raz koncert w Paryżu, *Rubini* chcąc dopomódz uboższemu od siebie ziomkowi, nie tylko przyrzekł wziąść udział w koncercie, ale nadto postarał się o współudział panny Grisi i innych artystów.

Na kilka minut przed koncertem, Rubini jak zwykle z uśmiechem na ustach wchodzi do przedpokoju sali koncertowéj i pyta Ruggiera, ile biletów sprzedano.

— Bardzo mało, odpowiedział tenże i uchylając drzwi sali pokazał Rubiniemu wiele krzeseł próżnych.

— Nic nie szkodzi zawołał Rubini, wszystkie niesprzedane biorę dla siebie.

To powiedziawszy wziął parę arkuszy papieru, pociął na kartki i napisawszy na każdéj słowo „Loué" (zajęte) dał je bileterowi z poleceniem przymocowania na krzesłach.

Panna Grisi odśpiewała właśnie wielką arję wśród grzmotu oklasków, gdy dwóch Anglików, z perspektywami w ręku weszło do sali. Nie dostawszy przy kasie biletów, prosili Ruggiera o dwa krzesła. Rugierro odesłał ich do Rubiniego.

— Moi panowie, rzekł tenże, nająłem krzesła za tysiąc franków, aby koncertantowi wyświadczyć przyjacielską przysługę, i tylko za taką samą sumę pozwoliłbym się pozbawić téj przyjemności.

Satyryczny ton, jakim przemawiał Rubini dotknął dumnych Anglików. Jeden z nich wyciągnął banknot na tysiąc franków i podał go Rubiniemu, poczem obadwaj zajęli wskazane miejsca.

Nie znali oni Rubiniego, ale gdy późniéj ukazał się na scenie i odśpiewał sławną arję Cimarosy „Pria che spunti" zachwyceni klaskali z zapałem i oświadczyli, że dzisiejsza sposobność poznania Rubiniego w krótkiéj z nim rozmowie i słyszenie jego głosu, nie zdaje się im wcale za drogo kupione.

Beaumarchais (ur. w Paryżu 1732) był synem zegarmistrza i ojciec jego życzył sobie aby syn poświęcił się temu rzemiosłu. Młody Beaumarchais jednak nie miał najmniejszéj ochoty do zegarmistrzowstwa i oddał się muzyce, do któréj okazywał wielkie zdolności.

Wsławiwszy się „Weselem Figara" uzyskał wstęp na dwór Ludwika XV i córki jego uczył na gitarze i na arfie.

Raz, gdy się przechadzał z księżniczkami i margrabią Ballroi, ten ostatni chcąc w sposób upokarzający przypomnieć Beaumarchemu niskie urodzenie, wyciągnął z kieszeni kosztowny zegarek i podając go kompozytorowi, rzekł:

— Zepsuł mi się zegarek i spóźnia się ciągle, bądź łaskaw panie Beaumarchais popatrzeć co jest tego przyczyną. Zapewne znasz się na tem.

Beaumarchais wziął obojętnie zegarek, popatrzył i jakby przypadkiem rzucił na kamienie, tak że zegarek rozleciał się w kawałki.

— Do licha! zawołał Ballroi, jakże pan jesteś niezgrabnym!

— Toż samo mawiał i mój ojciec, odpowiedział szydersko Beaumarchais; zdaniem jego nie urodziłem się wcale na zegarmistrza i dla tego poświęciłem się muzyce i poezji, a że do tych przedmiotów mam zdolności to pan przecież przyznasz, jak dobrze odmalowałem głupców zadzierających nosy.

Księżniczki parsknęły śmiechem, a margrabiemu nic nie pozostało jak połknąć pigułkę i pozbierać szczątki swego zegarka.

KORESPONDENCJA.

Pani Walerji Z. Wyboru dzieł w odpowiednim kierunku wychowania domowego, nie możemy na prędce dopełnić. Postaramy się jednak o ile można jak najprędzéj, przesłać stosowne objaśnienie z wymienieniem ceny każdéj oddzielnie książki.

Pani Anieli. Adres jest tak niewyraźny żeśmy go żadnym sposobem ani z nazwiska ani ze stacji pocztowéj odczytać nie mogli. Prosimy więc o powtórne go przysłanie, i to wyraźne, bo od tego zależy pośpieszne załatwienie sprawunku i przesłanie go w miejsce wskazane. Wieś zdaje się być Popowo, czy tak jest rzeczywiście?

Pani Joannie D. Manuskrypt odebraliśmy, ale przeczytanie jego takie przedstawia trudności, że może ich trudno nawet będzie pokonać. Gdyby choć atrament był czarniejszy, a papier biały nie różowy.

Od Redakcji.

Z dniem pierwszym Października kończy się kwartał trzeci, upraszamy przeto o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj za kwartał czwarty, wprost pod adresem w każdym numerze znajdującym się, bo tylko tym jedynie sposobem zwłoki w odbiorze numerów uniknąć można.

W następnym numerze rozpoczniemy opowiadanie pani Pauliny Wilkońskiéj p. t. *Ostatnia miłość*, po ukończeniu którego ogłosimy powieść w dwóch tomach J. I. Kraszewskiego pod tytułem *Wielki nieznajomy, obrazy naszych czasów.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i prospekt na „Kolce".

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066k) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 36. 1871 r.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dokończenie.)

XXV.

Goście rozjeżdżali się, a każdy z nich, opuszczając salon, żegnał moją matkę głębokim ukłonem i pełnem uprzejmości słowem. Zdawałoby się, że po długiem zapomnieniu, wszyscy ci ludzie nagle przypomnieli sobie o niéj i że widok jéj najżywszą im sprawiał radość.

To samo zupełnie i mnie spotykało. Mężczyzni mianowicie młodzi i nieżonaci, przesadzali się w okazywaniu mi grzeczności, tak że nagle stałyśmy się bohaterkami zebrania i przedmiotem czci ogólnéj.

Mimowoli uśmiechałam się na widok téj nagłéj zmiany, jaką sprowadziło dla nas odkrycie przez Rudolfa uczynione i powrót nasz do dawnego majątkowego stanowiska. Nie powiem jednak abym się uśmiechała wesoło, bo czułam rodzaj litości dla tych ludzi, którzy jak dzieci biegli ku temu co błyszczało lub błyszczeć mogło. Moja matka nagłą tę zmianę losu i położenia przyjęła obojętnie, z roztargnieniem prawie malującem się w oczach jéj, które mijały schylające się przed nią głowy, jakby one nie warte były ich spojrzenia, a zdawały się patrzyć na oddalony jakiś przedmiot, który tkwił zapewne w jéj myślach.

Tuż obok nas zadźwięczał słodki i niemal uniżony głosik:

— Kochane kuzynki! spodziewam się że zechcecie przepędzić parę dni w moim domu i spocząć trochę po tych wszystkich wstrząsających wypadkach. O, kochane kuzynki! Spodziewam się, że nie gniewacie się na mnie i nie macie do mnie żalu! Bogiem się świadczę że oczerniono mię przed wami; ja zawsze tak was kochałam, zawsze modliłam się za was i z całéj siły starałam się, aby najukochańsza ciotka moja pojednała się z wami. Ale harda to była i nieugięta kobieta, wiecie o tem i Bóg tylko jeden widział, com ucierpiała z powodu twardości i nieugiętości jéj charakteru. Nie godzi się źle mówić o umarłych ale... Niech Bóg świeci nad jéj duszą, nieboszczka miała charakter bardzo twardy i nieugięty i tylko poczucie obowiązku mogło mię skłonić do przebywania w jéj domu. Wierzcie mi że poczucie obowiązku... nic więcéj... robiłam z siebie najcięższą, ach! Bóg tylko wie jak ciężką ofiarę...

Ale najwięcéj boleję nad tem, że utraciłam wasze serca kochane kuzynki! Spodziewam się jednak, że nie będziecie zawzięte... Jesteście chrześcijankami i nie powinnyście być zawzięte... Pozostańcie parę dni w moim domu kochane kuzynki... Pamiętajcie o węzłach bliskiego pokrewieństwa jakie nas łączą... uważajcie mię za najżarliwszą waszą przyjaciołkę, gotową zawsze do usług waszych...

Pani Rudolfowa ściskała obie ręce mojéj matki, patrzyła w jéj twarz swemi okrągłemi oczami, i w dowód najżywszéj czułości ukazywała nam obydwom wszystkie swoje białe zęby.

Niepamiętam dobrze co odpowiedziała jéj matka, ale wiem że odpowiedź była krótka i sucha, i że przez okno widać było zajeżdżający dla nas powóz pocztowy.

Obejrzałam się wkoło, szukając oczami dwóch osób, z któremi pożegnać się chciałam, ale salon był prawie pusty, a na przeciwległym jego końcu stał Witold i zdawał się oczekiwać, abym zwróciła na niego spojrzenie. Żywo postąpiliśmy ku sobie. Gdzie on jest? spytałam.

Zrozumiał o kim mówiłam i smutek zasępił na chwilę jego przezroczyste oczy.

Biedny! rzekł; wymknął się niepostrzeżony i odjechał do swego domu...

— Dla czegóż biedny? przerwałam, jeśli kiedy to teraz przecie przyszła dla niego pora odpoczynku i zupełnego uspokojenia...

Mówiłam to niepewnym głosem, bo przed oczami stała mi wciąż zmęczona twarz, poorane czoło, przygasłe oczy i pognębiona postać Rudolfa.

Witold stał ze wzrokiem utkwionym w ziemię pogrążony w myślach. Po chwili powtórzył raz jeszcze. Biedny! Kilka minut rozmawialiśmy z cicha o wspólnym przyjacielu naszym. Widocznem było, że ostatnia próba wyczerpała do reszty jego siły. Oderwanie się od rodziny, którą tem więcéj kochał im więcéj czuł się przeciwko niéj winnym, trudy długiéj podróży, niepokoje poszukiwania, widok kobiety która tak ważną i tragiczną rolę odegrała w jego życiu, wszystko to razem a ostatnie zapewne najwięcéj, złamało go ostatecznie i do dna przepaliło jego serce tylu już wstrząsane burzami.

Człowiek ten nosił w sobie najpiękniejsze zasady szlachetności rozumu i gorących uczuć, a jednak spalił całe swe życie w ogniu niegodnéj go namiętności.... Miałażby dusza jego pomimo całéj piękności swojéj być niekompletną i z którejś strony tak okaleczoną, że nic już zdrowia jéj powrócić nie mogło? Czy nic smutnego jego życia wyprzędła się z chłodnego serca i nikczemnego charakteru kobiety z jaką był połączony? Czy na szali losów jego przeważył traf nieszczęśliwy, stawiając przed nim w chwili w któréj serce jego wybuchnąć namiętnością miało, zamiast kobiety wielkiéj sercem i umysłem, istotę z płomienistą i zachwycającą pięknością ciała a z duszą nizką i przedajną? Możnaż zrachować wszystkie stopnie po których zstępował w otchłań nieszczęścia? Możnaż zważyć na szali winy jego i cierpienia i przekonać się które zaważą więcéj? Możnaż dotknąć palcem wszystkich ran jego serca, i poczuć jak bolały albo poruszyć wszystkie struny jego piersi i posłyszeć jak one dźwięczały, zkąd wzięły się początek i krzykliwa fałszywość ich dźwięku? Bądź co bądź struny te odśpiewały już finał swéj pieśni, ostatnie jéj tony złamać się musiały o zimną pierś kobiety, tyle kochanéj i znowu ujrzanéj.

Otarłam łzę z oka i udałam się w głąb domu dla wyszukania Rozalji, z którą pożegnać się chciałam.

Przeszłam kilka cichych i mrocznych pokojów nie spotkawszy nikogo, aż w ramie drzwi otwartych na oścież ukazała się mi postać siedzącéj na kanapie Rozalji. Siedziała z rękami splecionemi i położonemi na kolanach z głową wyciągniętą naprzód, jakby w przedmiot jakiś chciwie się wpatrywała oczami, które gorzały i wilgotniały na przemian. Na bladych przedtem jéj policzkach leżały teraz dwa głębokie rumieńce. Milczała i tylko wargi jéj drgały chwilami jak u osoby, która tłumi w sobie płacz lub śmiech gwałtowny.

Postąpiłam żywo, lecz stanąwszy we drzwiach zostałam znowu zdziwioną. Sądziłam że Rozalja sama jedna znajduje się w pokoju, gdy tymczasem wzrok mój zaraz u progu upadł na mężczyznę, który o kilkanaście kroków od Rozalji stał zwrócony do mnie plecami, a bokiem do drzwi ogrodowych wpółotwartych i wiejących przejmującym jesiennym wiatrem. Mężczyzna w podróżnem był i dość wytwornem ubraniu, przez ramię miał przewieszoną skórzaną torebkę, a w ręku trzymał podróżny okrągły kapelusz. Lubo nie mogłam widzieć jego twarzy, postać jego wydała mi się dobrze znaną, Ciemne włosy tu i owdzie przypruszone lekką siwizną, okrywały mu głowę, która opadała na piersi jak u winowajcy lub człowieka bardzo wzruszonego czy zmięszanego. Rozalja patrzyła na mężczyznę tego jak w tęczę, oddech jéj był szybkim, palce splecionych rąk coraz mocniéj się zaciskały, ale— milczała.

Niewiedziałam co mam czynić. Pomyślałam jednak, że należało mi koniecznie pożegnać Rozalję i postąpiłam naprzód.Na szelest moich kroków mężczyzna drgnął i głowę odwrócił. Stanęłam na miejscu jak wryta —poznałam bowiem Agenora.

Zrozumiałam że obecność moja mogła tu być zbyteczną, natrętną nawet i chciałam się cofnąć, ale Rozalja spostrzegła mię także, w mgnieniu oka porwała się z kanapy, pochwyciła moje ręce i pociągnęła na środek pokoju.

— Niepotrzebnie, o wcale niepotrzebnie chciałaś się oddalić kuzynko, wymówiła przytłumionym głosem, i owszem, proszę cię abyś została i była obecną rozmowie jaką będę miała z tym panem....

Wymawiając ostatni wyraz, rzuciła rękę w stronę Agenora i upadła znowu na kanapę cała zrumieniona z dziwną jakąś zaciętości ą w wyrazie oczu.

Agenor ukłonił mi się głęboko ale zdaleka. Był bardzo zmieniony. Schudł i pobladł, na czole miał głęboką zmarszczkę, ciemno siwe jego oczy straciły połysk i śmiałość spojrzenia, niemniéj jednak mógł się jeszcze nazwać bardzo pięknym mężczyzną. Twarz jego obok wzruszenia i zmięszania, odbijała w téj chwili głęboki smutek. Powieki często w dół się kłoniły, koło ust krążył wyraz cierpienia. Pomimo pozornéj wytworności ubrania jakie miał na sobie, wprawne oko z łatwością spostrzedz by w niem mogło coś, co zakrawało na niedostatek lub zaniedbanie. Podróżny paletot za szeroki nieco dla jego wychudzonéj postaci nadawał jéj pozór opuszczenia i wyniszczenia zarazem.

Upłynęło kilka sekund w czasie których dwoje tych ludzi znowu patrzyło na siebie z wytężeniem, wcale nie pamiętając o obecności kogoś trzeciego. W końcu Agenor postąpił parę kroków w stronę Rozalji, ale ona szybko wyciągnęła rękę z gestem nakazującym i odpychającym zarazem. Pierś mężczyzny podniosła się westchnieniem.

— Rozaljo wymówił bezdźwięcznym głosem, także mię witasz po dwóch latach niewidzenia?

Rozalja zaśmiała się właściwym sobie a tak dobrze mi znanym cichym, przeszywającym chichotem.

Przestała śmiać się i rzekła:

— Pan życzy sobie abym go witała inaczéj? Pan czuje i zeznaje w sumieniu swojem, że zasłużył na inne z méj strony powitanie? Czy pan tak czuje i zeznaje w sumieniu swojem? Dziwi mię to wielce bo ja czuję i zeznaję że byłam dotąd szaloną, bezrozumną, odartą ze wszelkiéj dumy kobietą witając go inaczéj!

— Spodziewam się, odezwał się Agenor cichym i smutnym tonem, spodziewam się, że zechcesz przynajmniéj mię wysłuchać!

Rozalja wybuchnęła znowu.

— O! alboż raz słuchałam już pana? Alboż nie zanadto na nieszczęście moje słuchałam pana? Cóż mi pan nowego masz do powiedzenia? Zapewne to że dowiedziawszy się o chorobie i bliskiéj śmierci mojéj babki, pośpieszyłeś coprędzéj, aby pojąć za żonę Rozalję bogatą, wtedy, gdy dla Rozalji ubogiéj zaszczyt ten był niepodobnym? Nieprawdaż, że dowiedziałeś się pan o chorobie i bliskiéj śmierci mojéj babki i że pośpieszyłeś dla tego, aby mię zaślubić teraz gdy jestem bogatą? O! jakże to pięknie ze strony pana! jak bezinteressownie! jak rycersko! Dziękuję panu z całego serca, ale teraz gdy wiem już o pańskiem postanowieniu, proszę pana abyś wyszedł temi samemi drzwiami któremi wszedłeś, i więcéj nigdy nie stawał mi przed oczami!

Cały ten potok wyrazów wymówiła prędko i z nadzwyczajnem uniesieniem. Przy ostatnich słowach śmiała się głośno i przenikliwie, ale jednocześnie łzy jak groch sypały się po jéj rozpalonéj twarzy z czarnych oczu napełnionych wyrazem cierpienia.

Agenor milczał, głowę pochylił jeszcze niżéj i nieruchomy wzrok utkwił w ziemię.

Rozalja odetchnęła głęboko, z gestem niecierpliwości otarła łzy z twarzy i oczu i mówiła daléj:

— Czy pan sądziłeś że wszelkie pojęcie o szlachetnéj dumie i uczciwości do szczętu wygasło we mnie? Czy pan tak sądziłeś pośpieszając do mnie na wieść że jestem lub wkrótce zostanę bogatą? Czy pan myślałeś że nie lepiéj byłoby, nie szlachetniéj i nie dumniéj czekać, aż ja się do pana odezwę i zawołam: przybywaj! moje serce i bogactwo do ciebie należą! Nie! pan nie miałeś dość cierpliwości aby czekać na moje wezwanie! Pan jak jastrząb szldniały przybyłeś tu po bogactwo moje, a w dodatku i po mnie! O, to ostatni cios jaki mogłeś mi zadać! O! przebrałeś pan miarę upokorzeń jakiemi mię przez całe życie poiłeś. Gdybym zobaczyła upiora powstającego z łona mogiły, nie byłabym tak przerażoną jak gdym zobaczyła pana przez te drzwi wchodzącego! O, wolałabym zapaść się w głąb ziemi, jak pana w téj chwili zobaczyć!

Zakryła twarz dłońmi i łkała głośno przez chwilę. Nagle uspokoiła się, opuściła ręce, wyprostowała kibić i wlepiając od łez błyszczące oczy w stojącego przed nią mężczyznę, wymówiła z uśmiechem tryumfu i ironji.

— Tak, jestem teraz bogatą. Za pieniądze pozostawione mi przez babkę moją, nabędę wielkie dobra i dam w nich panu miejsce ekonoma. Jeżeli na tym urzędzie będziesz się dobrze sprawował, na starość otrzymasz ode mnie chleb łaskawy!

Agenor podniósł nagle głowę, przygasłe oczy jego błysnęły, głęboki rumieniec bladą twarz oblał:

— Rozaljo! zawołał, teraz ty przebrałaś miarę upokorzeń jakiemi mię poisz!

— Co? zawołała Rozalja porywając się z siedzenia i stając przed nim z podniesioną głową. Czy dobrze usłyszałam? Pan mi czynisz wyrzuty? Pan? mnie?

Zaśmiała się znowu ale nagle zmilkła, pochyliła głowę i kilka sekund stała pogrążona w zamyśleniu.

— I któż tu komu czynić ma prawo wyrzuty? ciągnęła zniżonym i drżącym nieco głosem, kto z nas czyje złamał życie? Kto kogo z równéj i widnéj sprowadził drogi? Przypomnij sobie ów poranek letni, taki promienny, taki spokojny, cichy i wonny, w którym wieniec niezabudek wkładając na warkocze moje, po raz pierwszy powiedziałeś do mnie: kocham cię! O! przypomnij sobie jaką niewinną i słodką dziecinną byłam w poranku owym, i spojrz teraz na mnie i spojrz we mnie i powiedz: jaka moc zdołała mię tak odmienić i przyznaj, że mocą tą złowrogą dla mnie ty byłeś.

Nie odrywała oczu od ziemi a mowa jéj stawała się coraz więcéj przeciągłą i nabierała coraz więcéj tonów głębokiéj żałości, jaka i twarz jéj zasłaniać poczęła.

— Dla czego, mówiła daléj, dla czegoż głos twój tak dźwięczny był i czarowny, gdy pierwszy raz wymawiałeś do mnie słowo: kocham! Dla czego wtedy ukochałam cię tak głęboko, tak nieskończenie, tak na zawsze? Przestać cię kochać nie było w mojéj mocy. Nie potrzebowałam ślubować ci stałości i wierności, bo każda myśl moja, każde uderzenie serca, każda krwi mojéj kropelka, na wskroś przesiąknięte były stałością i wiernością. Byłam ci wierną i stałą do bezrozumu, do szaleństwa, do zupełnego zaparcia się siebie saméj, do zupełnego rozbratu z dumą niewieścią.

A jednak Bóg mi świadkiem, że nie byłam odarta z poczucia dumy téj i głęboko czułam upokorzenie moje. Z gorącemi łzami modliłam się do Boga prosząc, aby mi serce odmienił, gotowa byłam biczować siebie za miłość moją tak jak za cień myśli występnéj biczują się zakonnicy. Ale przestać kochać nie leżało ani w naturze mojéj ani w mojem przeznaczeniu. O! smutne, smutne było to przeznaczenie! Lata płynęły, serce moje wzbierało goryczą, dusza psuła się, ciało uginało. Okiem zazdrości pełnem patrzyłam na niewinne i spokojne dziewice, na szczęśliwe narzeczone, na zacne żony i ubłogosławione matki. Czułam się powołaną do spełniania powinności rodzinnych, czułam się spragnioną spokojnego i zacnego szczęścia, a byłam sama, wciąż sama ze zgryzotą moją i z tą miłością dla ciebie nieszczęsną, któréj wykroić i wyrzucić z siebie nie mogłam, a która zapierała mi wejście na drogi upragnione! O! gorzkie, straszne wspomnienia! kędy było ich źródło? w tobie! A jednak nie przestawałam cię kochać i nie było ofiary któréj bym dla ciebie nie spełniła, i nie było cierpienia któregobym dla ciebie nie przeniosła! A ty czyś choć jedną uczynił dla mnie ofiarę? Czy choć na chwilę przez miłość dla mnie zrzekłeś się swych pieszczotliwych nałogów? Czy choć raz poprobowałeś przełamać twe nędzne tchórzostwo, które kazało ci drżeć przed ubóstwem, twoją własną winą ściągniętem? Coś dla mnie poświęcił? Coś dla mnie uczynił?

Głos jéj wzmagał się i rósł, z żałosnych tonów przechodził w groźne, z cichych w potężne aż z nowym wybuchem łamiąc ręce i wyciągając je ku niemu zawołała:

— Coś ze mnie uczynił?..

I nie mogła dłużéj mówić, zakryła oczy splecionemi rękami, upadła na kanapę, głowę na podus zkę schyliła i płakała zrazu głośno, potem coraz cisz éj aż zupełnie głosu słychać nie było, tylko łzy jak grad spadały po obu stronach jéj splecionych palców, zlewając pąsowy atłas poduszki i czarne fałdy jéj sukni.

On zda się skamieniał. Patrzył na nią i patrzył i ani wzroku od jéj złamanéj postaci oderwać nie mógł, ani żadnego uczynić poruszenia. Po chwili przesunął ręką po czole, to do szkarłatu zrumienionem, to blednącem nagle i zaczął mówić tak, że aż zadrżałam na dźwięk jego głosu. Był to zawsze ten sam głos, który mię tak zachwycał i podbijał niegdyś, głos dźwięczny, czysty, harmonijny, pełen modulacji kunsztownych i naturalnych odcieni, tylko teraz był on jeszcze piękniejszy, jeszcze pełniejszy i bardziéj przejmujący: bo przybył mu odgłos boleści głębokiéj i niby odzywające się echa mnóstwa przebytych cierpień.

— Rozaljo! mówił, nie spodziewałem się od ciebie takiego powitania, takich słów i takich wyrzutów. A jednak w sumieniu mojem czuję i zeznaję że zasłużyłem na nie.

Tylko widzisz, dotąd przyzwyczaiłaś mię do bezgranicznéj miłości, do bezwarunkowego twego przebaczenia. Myślałem że i teraz je znajdę... dla tego przybyłem tu do ciebie, po ciebie. Jestem winnym bardzo winnym — zmarnowałem życie i moje i twoje, ale nie doszedłem jeszcze do tych granic nikczemności, które przeszedłszy człowiek zaczyna kłamać.. Nie kłamałem nigdy przed tobą i dziś nie skłamię...

Tak, przybyłem tu dla tego, że wiedziałem iż jesteś już lub wkrótce zostaniesz bogatą... Myślałem sobie, że jak dla mnie na ziemi całéj nie ma kobiety jak tylko ty jedna, tak dla ciebie nie ma mężczyzny jak tylko ja jeden. Myślałem, że jak dla mnie bogactwo bez ciebie znaczyłoby tylko kawałek powszedniego chleba bez najmiejszego promyka szczęścia i zadowolenia, tak dla ciebie bez mnie bogactwo to byłoby udręczeniem. Tak myślałem i przybyłem tu aby ci powiedzieć: połączmy się i razem dokończmy sterane przeze mnie życie nasze. Nie chcesz tego, odwracasz się ode mnie, powiadasz że przebrałem miarę złego jakie ci wyrządziłem, dobrze więc odejdę i nie wrócę, bo jakkolwiek nisko upadłem, nie doszedłem jeszcze do takiego stopnia znikczemnienia, abym miał błagać kobietę, która mię odtrąca w imię bogactwa swego...

Odetchnął głęboko i umilkł na chwilę. Gdy zaczął znowu mówić, Rozalja podniosła się ale nie odjęła dłoni od twarzy i pozostała nieruchoma.

— Ale nim odejdę, zaczął mówić znowu, nim odejdę pozwól mi powiedzieć, że miłość moja dla ciebie ani na jeden moment nie była udaniem... Jesteś jedyną kobietą jaką kochałem... a byłem także stały przyznać musisz, bo od owego letniego poranku o którym wspominałaś, upłynęło już wiele wiosen i jesieni, a dziś kocham cię jeszcze tak samo jak wtedy... Tylko byłem tchórzem i nie potrafiłem dla twojéj nawet miłości, oko w oko spojrzeć ubóstwu..

Gdym utracił majątek, uciekałem od téj mary tak straszněj dla mnie po lądach i morzach... Brałem się do wszystkiego, pochwytywałem wszystko i nic utrzymać nie umiałem i zawodziłem się na wszystkiem. Próbowałem zarabiać sobie byt codzienny pracą rąk lub głowy, ale przyzwyczajenia całego życia brały zawsze górę. W niczem nie wytrwałem bo posiadałem wszystkie do pracy zdolności, nie posiadałem woli, któréj brak unicestwiał we mnie dobre porywy i łamał postanowienia... Wola moja utonęła tam gdzie zginęło mienie moje... w latach próżniactwa, miękkości i zbytków... Czyliż będę tu

opowiadał nędzny żywot, jaki pędziłem od czasu, gdy ze stron tych wydalony zostałem utratą mego mienia? Czyliż będę opowiadał to życie, pełne wstydu i gorzkich łez połykanych ze śmiechem na ustach? Przez te lata kilka byłem wszystkiem i niczem nie byłem... Zaczynałem pracować w handlu i rzemiośle, i rzucałem pracę aby rezydować u bogatych krewnych lub służyć za igraszkę dawnym przyjaciołom w chwilach ich znudzenia...

Tu i owdzie wygrywałem garść pieniędzy w karty lub inną grę jaką... ten i ów widząc położenie moje zwrócił mi jakiś dług zaciągnięty u mnie dawniéj, i tak żyłem z dnia na dzień. Byli tacy co się śmiali ze mnie, i tacy co się nade mną litowali. Śmiech stanowił jedno a litość drugie ramię tych kleszcz, które ściskały mi gardło a śmiały się hańbą. Byłem wszędzie i nigdzie nie byłem, bo wałęsałem się po wszystkich kątach świata, a nikt mię nie spostrzegał, bom znaczył w świecie mniéj jak ziarnko piasku, tyle ile w świecie znaczy próżniak i zjadacz cudzego chleba.

O! okropne życie? Po cóż ci je rozpowiadam Rozaljo? Albożeś go nie znała? Albożem ci o niem nie mówił? Alboż w życiu tem nie świeciłaś przede mną jak jedyna gwiazda przebaczenia, jak słońce drogich wspomnień, jak jedyna na świecie istota o któréj powiedzieć mogłem: kocha mię!

Od czasu do czasu biegłem do ciebie, aby z ust twoich posłyszeć ten wyraz na skrzydle którego unosiłem się w te chwile dawne, dawne, gdy nade mną uśpioną dzieciną pochylona wymawiała go matka moja! Biegłem do ciebie aby spojrzeć w twoje ukochane oczy i rękę twoją do ust przycisnąć, i wracałem do nędzy mojéj od ciebie, bo mogłemże wplatać cię wraz ze mną w ohydne koło moich losów, losów przeze mnie samego zgotowanych?

Urwał mowę, zakrył twarz dłońmi i płakał. Rozalja patrzyła znowu na niego, ale we wzroku jéj zniknął gorączkowy ogień, co go przed chwilą rozpalał, z ust ześliznęło się szyderstwo i cała twarz przybrała wyraz wielkiéj powagi z głębokim połączonéj smutkiem. Agenor podniósł po chwili głowę i mówił znowu:

— Jeżeli wielkie były moje winy, to i wielką za nie poniosłem pokutę, pędząc życie wbrew sercu memu, które się wciąż wielkim głosem upominało o ciebie, wbrew sumieniu, które podnosiło się i groziło mi zawsze, bo nigdy całkiem nie zamarło we mnie. Ale sroższą, o, stokroć sroższą karą i pokutą jest dla mnie ta chwila, w któréj ty Rozaljo odtrącasz mię od siebie, ty co jedna na całym świecie przebaczałaś mi i zamiast wzgardy lub pośmiewiska podawałaś mi dłoń wierną i kochającą. Bądź za to błogosławioną! W otchłań nędzy i osamotnienia jaka mię czeka, poniosę obraz twój jak drogocenne pamiątki, które kto wie? uchronią mię może od ostatecznego zepsucia o które na drodze jaką idę tak łatwo. Przebacz mi jeżeli możesz i zapomnij o mnie. Bądź szczęśliwą!

Łzy głos mu tłumiły ale uczynił wysilenie i mówił jeszcze:

— Wyrzucasz mi, żem ośmielił się stanąć dziś przed tobą i dopominać się o to, co sam występną nieoględnością lat młodych, a potem nędznem tchórzostwem duszy osłabłéj i niezahartowanéj utraciłem! I masz słuszność że mi to wyrzucasz. Nie klękam przed tobą, jakby to może kto inny uczynił, i nie błagam cię abyś odwołała twój wyrok.

Wiem, o, wiem że jestem rozbitkiem tego świata który dał mi życie. A potem je zepsuł, że jestem występnem i marnotrawnem dzieckiem téj ziemi, które zmarnowało wszystkie dane mu przez los i naturę bogactwa, że jestem nakoniec... żebrakiem!

Przy ostatnim wyrazie głuchy jęk wydobył się mu z piersi, a zawtórował mu powiew jesiennego wiatru, który wnikając przez drzwi półotwarte, przyniósł odgłos pocztowego dzwonka dźwięczącego od czasu do czasu w oddali, gdzieś aż po za ogrodem na szerokiéj drodze przerzynającéj dolinę.

Na odgłos tego dzwonka przyniesionego do pokoju powiewem wiatru, Agenor drgnął i ręce opuścił jak człowiek w rozpaczy. Ale prędko wyprostował się, oczy jego oschły, blada i wyniszczona twarz przybrała wyraz stanowczości i spokoju. Wyciągnął rękę w stronę w któréj brzmiał dzwonek i wymówił.

— Odjadę. Na progu tym zostawię ostatnią iskrę nadziei. Błogosławię ci raz jeszcze Rozaljo i żegnam cię. Przebacz mi jeżeli możesz i źle o mnie nie wspominaj. Nie zobaczysz już mię nigdy. Bądź zdrowa i szczęśliwa.

Popatrzył na nią jeszcze parę sekund, potem zwrócił się zwolna, i ciężkim krokiem ku drzwiom zmierzał.

Rozalja porwała się z siedzenia jakby gwałtowną jakąś siłą podniesiona, i wytężyła na niego wzrok który znowu srebrnemi łzami zachodził. Gdy był już na progu załamała ręce, wyciągnęła je ku niemu i krzyknęła. Agenor!

W krzyku jéj tysiące splątanych ozwało się uczuć boleści, szczęścia, prośby, słodyczy, przebaczenia namiętnych wspomnień i żalów.

Odwrócił się i stanął jak wryty. Patrzyli na siebie kilka sekund, łzy ćmiły ich oczy i rumieńce poczęły wstępować na twarze. W końcu z piersi Rozalji wyrwały się słowa:

— A ja kimże jestem jeśli nie rozbitkiem także tego świata, który mi dał życie? kimże jestem jeśli nie marnotrawnem dzieckiem, które zmarnowało nędznie dni swoje młode? Jesteś żebrakiem... a więc dobrze przyjmuję cię jako takiego... kocham cię jako takiego! Dobrześ powiedział: nie ma dla mnie na świecie mężczyzny tylko ty jeden! Jam twoja!

Poskoczyła, zarzuciła ręce na jego szyję i głowę położyła na jego piersi. Na twarzy jéj po któréj strumienie cichych łez płynęły, rozlał się wyraz nieskończonéj słodyczy i szczęścia.

XXVI.

Odeszłam. Przykre ogarniało mię uczucie. Obraz tych dwojga ludzi, tych rozbitków jak sami nazywali siebie, ich wyrzutów, ich pojednania i ich miłości, raził mi oczy jak jaskrawe światło czerwonéj błyskawicy niknącéj na tle nagromadzonych chmur czarnych. Jakże innem i niepodobnem do tego obrazu było to uczucie, które w méj własnéj niosłam piersi. Jaśniało ono przede mną jak czyste, łagodne, nie oślepiające wzrok, ale zachwycające światło wchodzącego słońca. Nie było na niem ani jednéj chmurki złych wspomnień, ani jednéj plamki któraby jego nieskazitelną jasność zaćmiewała, ale przerzynał je pas różany powstającéj jutrzenki szczęścia. Światem naszym było wszystko co prawdziwe, dobre, wielkie i piękne, w tym świecie *on* i *ja* nie czuliśmy się rozbitkami, lecz owszem ptakami o szeroko rozwiniętych skrzydłach, wędrowcami śmiało stawiającymi stopy na ukochanym i gościnnym gruncie.

Jakże biedni byli ci ludzie, którzy tam w mrocznym pokoju, podmuchem przenikającego wichru owiani łączyli usta swe, na których nie ostygły jeszcze wyrazy skarg i złorzeczeń! W téj chwili uroczystéj w któréj jego i moje usta połączą się pocałunkiem pierwszym, obie dusze nasze razem i wspólnie podniosą się szerokiem tchnieniem wiekuistego błogosławieństwa!

Szłam zwolna w myślach pogrążona a im daléj za sobą pozostawiałam tę jaskrawą błyskawicę nieszczęśliwéj miłości dwojga nieszczęśliwych ludzi, tem łagodniejszem i czystem światłem jaśniało przede mną własne niebo moje.

Jeszcze kilka postąpiłam kroków, i wzrok mój upadł na twarz ukochaną. Stał we framudze okna i czekał na mnie. Gdy zobaczył mię oczy mu zajaśniały, uśmiech okolił usta, w milczeniu dłoń otwartą wyciągnął ku mnie. Zbliżyłam się i rękę moją złożyłam w téj dłoni bez chwili wahania się, z ufnością bez granic, z miłością nieopisaną. Przyciągnął mię do siebie i głęboko spojrzał w moje oczy.

Nie wiem, nie pamiętam jak długo staliśmy tak przy sobie, patrząc na siebie.

— Najdroższa moja! wymówił.

O, jakże wielkie znaczenie wyraz ten posiadał w ustach tego człowieka, dla którego drogiem było wszystko co piękne i wielkie!

— O, jakże cię kocham! wyrzekł raz jeszcze.

Gdy to wymawiał zdawało mi się że z ust jego wypłynął płomień gorący i świetny, oblał mię całą i przeniknął na wskróś tak, że myśleć mogłam, iż w owéj chwili dusza jego spłynęła we mnie.

— O, jakże cię kocham! powtórzyłam za nim, a wymawiając to nie spuściłam oczu i głos mój nie zadrżał.

I nie trzeba nam było przysiąg i przyrzeczeń, bo w wyrazie tym zjednoczyliśmy się już na zawsze.

Położył rękę moją na swojem ramieniu i tak szliśmy razem patrząc ciągle na siebie i stąpając po smudze słonecznych promieni, które wniknęły przez szyby i słały się nam pod stopy niby ślubny kobierzec...

Matka moja sama jedna siedziała w wielkim salonie niecierpliwie znać mnie wyglądając, bo z natężeniem na drzwi patrzyła.

Nie wiem czy odgadła wszystko z wyrazu twarzy naszych, czy wprzódy już przewidywała to, co się stać miało, ale ujrzawszy nas wchodzących podniosła się, krzyknęła lekko i wyciągnęła ku nam ramiona.

Nie rozłączając się stanęliśmy przed nią.

— Matko moja! rzekłam, oto mój narzeczony!

W kilka minut potem opuściliśmy Rodów a wieczorem dnia tego pisałam do ojca mego następne słowa:

„Przybywaj coprędzéj kochany ojcze! Matka moja wzywa cię i niecierpliwie oczekuje chwili, w któréj połączycie się na nowo i wzajemnie przebaczycie sobie przeszłość. Oprócz tego czeka cię tu jeszcze ojcze najlepszy, niespodzianka. Aby zaś była ona dla ciebie zupełną niespodzianką, nic ci więcéj nie napiszę jak tylko, że jestem najszczęśliwszą ze wszystkich na świecie istot i narzeczonych.

KONIEC.

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Malwina nadaremnie szukała matki i Ryszarda: uniósł ją potok uciekających gości, tak, że dopiero minąwszy dziedziniec, zdołała się wstrzymać, aby z trudnością powracać. W pomieszkaniu nie znalazła Ryszarda: było to zupełnie naturalnem, ale jéj było tak okropnie widzieć ciągle wokoło siebie samych obcych, tylko sobą zajętych, a dla niej nie mających w téj chwili ani słowa pociechy lub uspokojenia. Pomimo rozpaczliwéj trwogi postrzegła jednak, że nikt nie zajmował się gaszeniem i ratowaniem. Słyszała wokoło siebie przekleństwa woźniców, rżenie koni, krzyki, wołanie i rozkazy na wszystkie strony, ale nie widziała wiader do gaszenia, ani wody: z poza ścisku powozów, ludzi i koni który się coraz bardziej wzmagał i coraz bardziej mięszał, niepodobna było nawet wyprowadzić sikawek. W trwodze śmiertelnéj przecisnęła się przez zbity tłum, smukła wiotka jéj postać pomykała coraz daléj, gdzie niegdzie znajdowała wolniejsze miejsce, gdzie niegdzie sami robotnicy usuwali się litościwie pięknéj córce swego pana.

— Dla Boga, gdzie jest pan Hood? zapytała drżącym głosem jakiegoś starego człowieka, który się umknął aby ją przepuścić.

Robotnik spojrzał na nią, miała jeszcze kwiaty na głowie a blask płomieni otoczył ją nadziemską pięknością. Człowiek ten przypomniał sobie szczęśliwą godzinę, gdy w istocie jak anioł miłosierdzia zjawiała się często w jego chacie wnosząc ze sobą światło i pociechę.

— Oni poszaleli, rzekł wskazując ręką, chcą spalić pana Hood w fabryce, bo myślą że to on podpalił i czterystu ludzi pozbawił chleba.

Dziewczyna wlepiła w niego oczy, ale tak okropnie iż się zdawało że wybiegną z osady.

— Spalić! krzyknęła, spalić! O wszechmocny Boże, ratunku, ratunku! Litości dla Boga. Mój cały majątek oddam temu co go ocali. Puśćcie mię o! przez litość, puśćcie!

— Otwierajcie drzwi! zawołało teraz kilka rozsądniejszych; i tak nam przecie nie ujdzie, ale dla czego mamy dać mu się spalić.

Nadaremnie! Cóż mogło dziecko, co mogło wskórać pięćdziesięciu rozsądnejszych w obec przewagi szaleńców, którzy zamiast jéj słuchać, pytali z piekielnem szyderstwem, czy nie chce podzielać losu nieszczęśliwego Ryszarda, coraz słabiéj coraz rzadziéj wołającego o pomoc!

Pojęła że tu nadaremnie prosi, i czem prędzej uciekła ztąd, przeciskając się z nadnaturalną siłą przez zbite koło. Teraz pospieszyła do pomieszkania pani Sybilli, które jako położone na samym końcu przeciwnego skrzydła, było przynajmniéj dotąd wolne od niebezpieczeństwa. Po drodze mówiła każdemu kogo spotkała o okropnym zamiarze robotników, w skutek czego zebrało się kilku gości i sług aby oswobodzić nieszczęśliwego. Malwina jednak szła dalej, szła szukać innéj osoby, jedynéj, która mogła dać skuteczny ratunek.

Gdy wpadła do pokoju pani Sybilli, ujrzała na sofie leżącą postać niewieścią i krzątającą się w około niéj Gertrudę; Malwina jednak nie mogła teraz myśleć o cudzem nieszczęściu, niepopatrzyła nawet kto tam leży. Pani Sybilla w białem, nocnem ubraniu, z rozpuszczonemi na noc siwemi włosami stała przy oknie jak posąg kamienny, z oczyma utkwionemi w straszne widowisko. Krzyk Malwiny przestraszył ją: gdy się obróciła, dziewczę leżało u jéj nóg i ściskało jéj kolana z tak okropną w oczach rozpaczą, że kamienne serce ponuréj kobiety żywiej bić zaczęło.

— Ciotko ratuj, wołała stłumionym głosem, on jest zgubiony!

— Kto? krzyknęła gniewnie przerażona Sybilla.

— Ryszard, wyjękło dziewczę z cicha, jest zamknięty w fabryce, robotnicy zatarasowali drzwi i chcą go spalić żywcem.

Staruszka wydała dziki, ochrzypły krzyk, jak rozjuszona lwica broniąca swoich młodych. Milcząc wyszła potem z pokoju i jakby jéj nagle lat trzydzieści ubyło, zbiegła ze schodów nie zważając że Malwina postępuje za nią drżącym krokiem. Na dole w pokoju Ryszarda, od którego drzwi stały otwarte na rozścież, paliła się jeszcze lampa przy któréj pracował a jéj migające światło padło na parę pistoletów, wiszących nad biurkiem. Prawie instynktowo pani Sybilla zdjęła je ze ściany, obejrzała panewki ostrożnie pomimo gwałtownego wzburzenia, i daléjże przeciskać się przez tłum robotników.

Wysoki wzrost, zaiskrzone oczy i biały włos igrający w nieładzie w około ponuréj, groźnéj twarzy, wszystko to oświetlone blaskiem płomieni, zadawało Sybilli wyraz nadnaturalny. Dzika tłuszcza rozstępowała się przed nią jak przed duchem zagniewanym.

— Otwieraj drzwi! krzyknęła na jednego z czeladzi, który z toporem w ręku obojętnie przypatrywał się płomieniom. Otwieraj drzwi! mówię ci, albo w téj chwili staniesz przed Bogiem i zdasz rachunek!

Parobek ujrzał wymierzoną na siebie lufę pistoletu: Sybilla, którą nawet w chwilach spokoju otaczało coś tak tajemniczego, że prości ludzie prawie się jéj bali, stała przed nim zdecydowana na wszystko. Wprawdzie ociągał się jeszcze, w około zaś dał się słyszeć lekki szmer, lecz trwało to krótko jak myśl. Przenikliwy wzrok dziwnéj kobiety wywarł na nich osobliwszy wpływ.

— Otwieraj drzwi! krzyknęła znowu, albo śmierć wasza, kto mi ujdzie, przepadnie na sądzie ostatecznym!

Na te słowa odezwali się pierwsze uderzenia we drzwi, a na to hasło szaleńcy zaczęli powoli przychodzić do opprzytomnienia, znosić topory i drągi żelazne dla wyważenia drzwi. Wnet też nadeszli i goście znajdujący się jeszcze na dziedzińcu, tudzież słudzy, którzy nie mogąc się dowiedzieć co zaszło, ani pojąć o co idzie, byli dotąd nieczynni. Wszyscy teraz raźno zabrali się do dzieła. Na czele stała Sybilla w białem nocnem ubraniu, oglądająca się podejrzliwie i gotowa przy najmniéjszym oporze spełnić swoją pogróżkę, obok niéj drżąca Malwina.

Nareszcie drzwi się rozwarły i buchnął z nich duszący dym. mężczyzni uskoczyli na bok.

— Rozstąpcie się! krzyknęła pani Sybilla, i puśćcie mnie, wasze życie już bezpieczne. Pomimo dymu i swędu staruszka weszła do sieni z zamkniętemi ustami i oczyma, i zaczęła szukać.

Tuż za drzwiami namacała nogą ciało, odsunięte zapewne przy ich otwieraniu. Chwyciła w objęcia martwe zwłoki, wywlokła na próg, gdzie słudzy pospieszyli na pomoc.

— Udusił się, zawołał ktoś z mężczyzn, już za późno!

Krzyk, jeden, drżący, pełen niewypowiedzianéj boleści wydarł się z piersi Malwiny, ale Sybilla chwyciła ją groźnie za rękę!

— Cicho! zawołała, nie jest to jeszcze dzień ostateczny, a gdyby mi Bóg jego zabrał niebyłoby sądu dla mnie.

Uklękła obok, rozwiązała mu chustkę, rozdarła koszulę. Zimne i drżące jéj ręce uczuły lekkie, powolne uderzenia jego serca, które pod wpływem świeżego, nocnego powietrza, coraz silniejszemi się stawały.

— Ciotko, jęknęło dziewczę obok klęczące, zlituj się, powiedz mi czy on żyć będzie, bo ja umrę!

W tem omdlały otworzył oczy, te oczy poczciwe, które tak wiernie nad nią czuwały, i wzrok jego padł na ukochaną.

— Ryszardzie! zawołała ze łzami radości, Ryszardzie! O Boże, jakżeś miłosierny!

Nie zważając na tłum, który ich otaczał, rzuciła się na niego całowała jego czoło, włosy i oczy, przykładała jego ręce do swego serca, płakała i śmiała się zarazem.

Lecz w tem przypomniała sobie o Sybilli, która stała obok dumna i milcząca.

— O niech cię Bóg błogosławi ciotko! zawołała padając z płaczem na kolana i obejmując staruszkę obiema rękami. O niech cię Bóg błogosławi i niech powróci twojemu sercu pokój, jak ty mojemu szczęście wróciłaś!

Na krótką chwilę kamienne serce pani Sybilli zmiękło pod wpływem uczucia, które ją przejęło: cudowna moc leży w modlitwie niewinnego serca. Szybko wzięła ją w objęcia i przycisnęła do piersi, poczem pochyliła się nad Ryszardem.

— Jej to jej podziękuj Ryszardzie, to ona cię uratowała! rzekła Malwina upojona radością, gdy podawał rękę Sybilli, która badawczo patrzyła mu w oczy.

Ale w tej chwili przeszło już tkliwsze wzruszenie jej twardego serca.

— Nie lubię wymuszonego podziękowania, rzekła krótko, tem bardziej takiego, w którem wy pośredniczycie i rzucacie je potem jak łaskę. Ryszard mało ceni swoje życie: uratowałam go dla siebie samej!

— Obym mógł pani życie, moim życiem osłodzić, odezwał się Ryszard widocznie wzruszony, podczas gdy Malwina stała na stronie strwożona, chociaż uradowana.

Sybilla obojętnie skinęła ręką.

— Czy ci lepiej? zapytała zamiast odpowiedzi. No, więc idź, dodała, wskazując na palący się budynek, gdy przyznał że się czuje dobrze, i ratuj co można.

Pomimo wszelkiego wysilenia które teraz stało się ogólnem, spłonęło skrzydło, w którem mieściła się fabryka jakoteż wspaniała budowa środkowa, rezydencya pani Georginii. Ocalało tylko skrzydło, w którem Sybilla pędziła dni smutne. Zdawało się, że nieszczęście, dotknąwszy już tylokrotnie tę kobietę, uciekało teraz jakby spłoszone z przed jéj progu.

Książki i papiery jakoteż cały kantor, mieszczący się pod pomieszkaniem pani Sybilii, zdołano także ocalić. Powoli z brzaskiem poranku ujrzeli się obok siebie wszyscy nieszczęśliwi pogorzelcy i Malwina

znalazła nareszcie matkę, która prawie bezprzytomna bezwładna, wspierała się na ramieniu hrabiego Feliksa. Młody oficer postrzegłszy, że Malwina dostała się na wolne powietrze, z zadziwiającą spokojnością umysłu ułatwiał przerażonym gościom wydobycie się z zagrożonego budynku, dodawał wszystkim odwagi i przytomności, i on to pomyślał pierwszy o zamknięciu drzwi, przez króre przeciskał się dym z płonącej w magazynie bawełny. Zbliżając się do tego pokoju, potrącił nogą o Ingeborgę, która leżała na ziemi poparzona do niepoznania i dogorywająca w najokropniejszych mękach.

Przerażony podniósł nieszczęśliwą: pomimo ran jéj i jęku nie mógł nieść jéj ostrożnie, lecz jak zdołał zwlókł się z nią ze schodów, aby ją tylko ratować, i na własnem ręku przyniosłszy bratową do pomieszkania pani Sybilli,poruczył umierającą staraniom Gertrudy. W pośród nadzwyczajnego zgiełku trudno mu było znaleść tę o którą najwięcej mu chodziło, lecz sądził, że jej życie nie jest w niebezpieczeństwie, a pomocy wszędzie było potrzeba. O okropnem nieszczęściu, którem Ryszard był zagrożony dowiedział się wprawdzie dopiero wtedy, gdy to było juž odwrócone, lecz był jednym z najczynniejszych przy kierowaniu sikawkami, gdy te nareszcie przyciągnięto i ustawiono. Rzeczywiście on największą położył zasługę w powstrzymaniu dalszego szerzenia się ognia, chociaż z obszernego gmachu w istocie mała tylko część ocalała. Feliks znużony i wycieńczony chciał się właśnie oddalić, gdy drobne zdarzenie na nowo go zatrudniło. Z fabryki wyprowadzono bydło i popędzono na pobliską łąkę, lecz piękny młody koń uciekł pasterzowi i przybiegł na dziedziniec. Feliks widząc to, schwytał konia i prowadząc go na łąkę, postrzegł w zmierzchu porannym kobietę w stroju balowym, z obnażonemi ramionami siedzącą na kamieniu i nieruchomą jak posąg, chociaż zimno było przenikliwe i deszcz siekł nieustannie. Była to pani Georginia, bezwładna, milcząca, błędnem okiem poglądająca na pogorzelisko, na którem przed kilku godzinami stała piękna i wesoła jej siedziba. Hrabia Feliks zbliżył się do niéj i przeraził się jéj rozpaczliwie spokojnem wejrzeniem. Chciał ją pocieszać, lecz nie odpowiedziała mu nawet westchnieniem. Nie stawiała jednak oporu, gdy ją prowadził przez otwartą bramę dziedzińca zalanego wodą, koło zgliszczów i dymiących belek do pomieszkania pani Sybilli. Tu ujrzała dziecko swoje, Malwinę i teraz dopiero pękły żelazne okowy, które dotąd krępowały uczucia nieszczęśliwej kobiety; obfity potok łez ulżył cokolwiek jéj sercu.

— Bóg tak chciał, pani Steinlach, pocieszał Ryszard poważnie, ściskając ją serdecznie za rękę; jest to nieszczęście, nie z naszéj winy pochodzące, należy więc znieść je z godnością.

Pani Georginia gwałtownie potrząsła głową i milczała, zimne a jednak przeszywające spojrzenia Sybilli pod oknem stojącéj, odbierały jéj mowę. Ryszard znając jéj próżność i dumę, sądził, że niemy jéj gest wyraża skargę iż została ubogą, rzekł więc dla jéj uspokojenia:

— Nie jesteście państwo całkiem zrujnowani, budynki, maszyny, bawełna, która była na składzie i gotowe wyroby, wszystko to jest dobrze zaasekurowane.

Na te słowa drgnęła na całem ciele.

— Nie! zawołała, nie! przeklinajcie mię, zabijcie mię, nie odnowiłam ubezpieczenia jak mi mąż kazał, jesteśmy zrujnowani!

Ryszard osłupiał! w pokoju panowała cisza grobowa, nikt nie śmiał powiedzieć słowa na usprawiedliwienie strasznéj téj lekkomyślności, chociaż nikt jeszcze nie wiedział jak ono daleko sięgało.

— Nie odnowiła pani ubezpieczenia? spytał wreszcie Ryszard, jakby budząc się ze snu. Ach tak, wszak pani sama to mówisz, a więc wszystko stracone. Lecz... cóż panią wstrzymało?

— Zabijcie mię na miłość Boga, błagała z płaczem; nie zniosę dłużej życia, które tak okropnie zatrułam mężowi i dziecku. Cudzy list posłałam, a papier o którego odesłanie tak usilnie prosił mię mąż, zostawiłam do dzisiaj; zdawało mi się, że będzie jeszcze dość czasu... o jakże okropnie jestem ukaraną!

Pani Sybilla to w milczeniu na winną patrzyła, to wyglądała oknem na pogorzelisko dymiące wśród posępnego jesiennego poranku.

—Oto bogactwa i duma Steinlachów, rzekła wreszcie z gorzkim uśmiechem, ale wiedziałam że tak będzie: *nieprawe dobro ostać się nie może.*

VII.

Minęła posępna, długa zima, która tylko szczęśliwym wydaje się wesołą i przyjemną. Dla serc rozdartych i załzawionych oczu, smutnym, pustym jest widok ogołoconej natury, pozbawionej ciepła i blasku słonecznego jak one szczęścia. A smutnych tak wiele było w Bonroth: zarówno na pogorzelisku, jak w ubogich chatach robotników, gdzie głód i nędza zajęły miejsce pracy o chleb codzienny. Tak, była to długa smutna zima, pełna żalu i rozpaczy, pełna łez i cierpień dla tak wielu, a bez nadziei dla tych wszystkich, których daliśmy poznać naszym czytelnikom.

Sprzeczne pogłoski, kto fakrykę podpalił, pozostały niepotwierdzone i niewyjaśnione. Ponieważ fabryka nie była zaasekurowana, nieszczęście to przywiodło właściciela do zupełnego ubóstwa, podejrzeuie iż ogień został podłożony z jego polecenia upadł samo przez się, i to tem bardziej, ponieważ wielu świadków wiedziało, że Ryszard wszedł do magazynu bez światła. Wiedziano także aż nadto dobrze, że żaden z robotników nie dostał się do wnętrza budynku; jakim sposobem wybuchł ogień, pozostało zagadką, i tylko rodzina Steinlachów dowiedziała się o jego przyczynie z bolesnego opowiadania pani Georginii i uzupełniającego je wyznania Ingeborgi.

Gdy Georginia dowiedziała się o buncie robotników i o zamiarze ich wdarcia się do fabryki, usłyszała zarazem kroki Ryszarda na schodach i tyle jéj tylko czasu zostało, że zaledwie zdołała Ingeborgę i aktora nie mogących niepostrzeżenie wymknąć się z kryjówki, wyprawić do ciemnego magazynu, do którego, jak wiedziała, nikt i nigdy nie wchodził ze światłem. Ryszard wszedłszy do swego pokoju, zasunął za sobą drzwi, Georginia, lub kto inny, za nim nie poszedł, a będąc dobrze obeznanym z miejscowością, przeszedł bez przeszkody chociaż po ciemku przez magazyn i sale pracy.

Para miłosna, kilku oderwanemi słowami Georginii nie zawiadomiona dokładnie o tem co się stało, lecz przeciwnie w najwyższym stopniu przestraszona, nie mogła dosiedzieć długo w ciemnéj kryjówce. Gdy Ryszard przechodził przez magazyn, wstrzymała oddech, zdjęta trwogą śmiertelną, niewiedziała bowiem kto to jest, ale gdy kroki jego przebrzmiały postanowiła wrócić do sali balowéj, gdzie wśród blasku światła, pod opieką towarzystwa, czuła się o wiele bezpieczniejszą, niż w ciemnym spichlerzu, przy sercu przyjaciela. Ale całkiem nieobeznani z miéjscowością, w któréj nigdy we dnie nie była, błądzili oboje pomiędzy stosami worów z bawełną i nie mogli znaleść drzwi od pokoju, który właśnie opuścili. Łapinski więc wydobył z kieszeni zapałki i potarł, aby sobie poświecić. Teraz bez trudności znalazł drzwi, ale nie postrzegł, że ziarnko fosforu odskoczyło i upadło na ziemie. W tejże chwili płomień buchnął, rozszerzył się w mgnieniu oka po całéj podłodze, gdzie wszędzie leżało pełno skrawków bawełny, i dosięgnął lekkiéj gazowéj sukni Ingeborgi.

Nieszczęśliwy kochanek osłupiał, gdy zobaczył jak się ogień jasnym płomieniem rozszerzał na około niego, i zaledwie tyle miał przytomności, że Ingeborgę pociągnął za sobą do pokoju. Obalił ją na ziemię, aby przytłumić ogień i chciał otworzyć drzwi, ale nie wiedział, że Ryszard zamknął je na zasówkę i kilka minut minęło, nim się tego domyślił, nim zasówkę znalazł i odsunął. Szczęściem znalazł w narożniku korytarza naczynie z wodą do chłodzenia wina, wylał je więc na Ingeborgę. Ale było to już za pózno, poparzona okropnie, okryta ranami i niewypowiedziane znosząca boleści, wiła się po podłodze a gdy w pierwszym okropnym przestrachu nikt z obecnych jéj nie spostrzegł,znajdowała się w podwójnem niebezpieczeństwie, albo stać się powtórnie pastwą płomieni lub być stratowaną przez uciekających.

Łapinski nie przekonawszy się nawet czy przygasił płonące suknie Ingeborgi, zajął się własnem ocaleniem. Poczuwając się do ciężkiéj winy, starał się wymknąć niepostrzeżenie i uciekł nie troszcząc się wcale o ofiarę swojéj straszliwéj nieostrożności. Nikt nie słyszał jéj jęków i błagania: każdy sobą samym był zajęty, wszyscy cisnęli się na schody, nie oglądając się i nie troszcząc o nikogo. Dopiero Feliks, powróciwszy dla ratowania, postrzegł ją i wyniósł na silnem ręku.

Wziąwszy ją pod swoją opiekę, już nie opuścił nieszczęśliwéj ofiary, póki jéj nie poruczył staraniom Gertrudy. Ani mu na myśl nie przyszło, że ta kobieta mogła być przyczyną zguby całéj rodziny: widział w niéj tylko żonę swojego brata i zajął się nią, jakby od jéj życia zależało szczęście wszystkich.

I Paweł zjawił się na miejscu nieszczęścia. Okropna łuna zwiastowała mieszkańcom Amstettenu w jakiem fabryka znajduje się niebezpieczeństwie: hrabia więc postanowił udać się osobiście na miéjsce. W téj chwili przyszła mu na myśl Gertruda i myśli téj wodze popuścił. Przybył, nim jeszcze ogień ugaszono; nie domyślał się, że Ingeborga była, lub jeszcze jest w niebezpieczeństwie, troszczył się tylko o Gertrudę, która jako ofiara osobliwszego humoru staréj dziwaczki, łatwo mogła była popaść w największe niebezpieczeństwo.

Ale i w téj chwili żadna myśl zakazana, którą potrzeba byłoby upiększać jakim pozorem, nie wkradła się do jego duszy, i teraz pamiętał o swoich obowiązkach względem Ingeborgi. Nie przeraził się więc, gdy wszedłszy do pomieszkania pani Sybilli ujrzał tam swoją małżonkę, lecz szczerą uczuł litość na widok jéj cierpień.

Gdy wszedł do pokoju, Gertruda krzątała się koło niéj i podawała nieszczęśliwéj napój chłodzący; jéj słodki łagodny głos, niósł słowa pociechy i uspokojenia. Dziwne to spotkanie Pawła z Gertrudą przejęło ich oboje bolesnem, lecz oraz i słodkiem uczuciem; oboje z jednakowem politowaniem patrzyli na istotę, którą im obojgu równie bliską była, bo ich oboje równie nieszczęśliwemi uczyniła.

W ciągu nocy pozostało tajemnicą zkąd się

wszczął ogień i dla czego najprzód dosięgnął Ingeborgę, nim nawet dym dostał się do sali balowéj. Ona sama, dręczona boleściami a często bez przytomności, nie mogła choćby i chciała, odpowiadać na pytania które jéj zadawano, i dopiero wyznanie Georginii rzuciło pewne światło na smutną tę sprawę. W obec bowiem najgłębszego żalu zniknęła wszelka duma i wszelka fałszywa pokora, która właścicielkę fabryki uczyniła narzędziem hrabiny, była tylko kobietą winną, głęboko zachwianą, matką nieszczęśliwą, która najukochańsze dziecko popchnęła w nędzę.

Smutne to i bolesne były godziny, które spędziła pod niegościnnym dachem pani Sybilli, godziny wstydu i żalu, godziny trwogi śmiertelnéj w oczekiwaniu na powrót męża, który spokojnie złożył całe swe mienie w jéj ręce, a którego zaufanie tak lekkomyślnie zdradziła. Gdzie spojrzała, czy to na poważną, smutną twarz Ryszarda, czy na ponure rysy pani Sybilli, czy na zapłakane oczy swego dziecka, lub w głąb własnego serca, wszędzie potępienie, ni, gdzie przebaczenia.

Ingeborga potwierdziła nazajutrz wyznanie Georginii, poczem śmierć położyła koniec jéj cierpieniom i oszczędziła jéj wszelkiego wyrzutu. Z pomieszkania pani Sybilli odprowadzono ją na miejsce wiecznego spoczynku. Pogrzeb był świetny, Paweł nie chciał tego dla siebie, lecz zdawało mu się, że tym sposobem przyniesie pociechę osieroconemu ojcu Ingeborgi, którego lekkomyślne serce, przynajmniéj w téj chwili, zdawało się być silnie dotkniętem. Pochowaną została odpowiednio swojéj godności i nazwisku; którego jednak nie zbyt godną się okazała. Zaproszono wszystką szlachtę okoliczną, aby oddała zmarłéj ostatnią przysługę, a przepych, z jakim wspaniałą trumnę niesiono do grobu, zdołał zasłonić przed oczyma świata próżnią i ubóstwo ducha zmarłéj hrabiny, jak niemniéj lekkomyślność, którą splamiła świetne swego męża nazwisko.

Tego samego dnia powrócił pan Steinlach, zawiedziony w swoich nadziejach, a ostatni cios który czekał na niego w domu, dobił go do reszty. Smutne było spotkanie się małżonków, a Sybilla, która przynajmniéj na pierwsze chwile musiała przyjąć do siebie znienawidzonych krewnych, przyczyniała im goryczy dotkliwemi słowy, które padając na zranione serca, powiększały jeszcze bardziéj wzajemne rozdrażnienie.

W chwilach szczęścia i powodzenia, obcy sobie i dalecy, byli zmuszeni teraz, gdy każde podwójnéj pociechy i podwójnéj miłości potrzebowało, mieścić się razem w kilku ciasnych pokoikach i żyć w najściślejszem zespoleniu. Steinlachowie tem byli nieszczęśliwsi, ponieważ musieli przyjmować gościnność Sybilli, ona zaś ponieważ nie mogła odmówić. Zresztą nie zdobyła się ani na żadną radę, ani na słowo pociechy, i zdawała się nie mieć nic dla nieszczęśliwych krewnych, nic oprócz pogardliwego uśmiechu, lub gorzkich wyrzutów. Nawet przemijające wzruszenie, które w owéj nocy okazała Malwinie, a które było skutkiem wspólności uczuć dla téj saméj osoby, dla Ryszarda, przeminęło razem z niebezpieczeństwem.

Zaraz po powrocie pan Steinlach, zawiadomił sądy o swojem położeniu, w skutek czego ogłoszoną została jego upadłość. Georginia pojmowała cały ciężar tego słowa, a ciężar ten podwajały wyrzuty jakie sobie czyniła. Całe jéj przeszłe życie, ze wszystkiemi niedorzecznościami, dawna jéj pycha i próżność, wszystko to zwróciło się przeciwko niéj jakby świadkowie na strasznym sądzie. W niemój trwodze unikała pełnych wyrzutu spojrzeń swego męża, a jednak nie śmiała przyjmować pociechy, którą jéj przynosiła Malwina, przejęta najgorętszą dla biednéj matki miłością. Nadaremnie upominał Ryszard poważnemi słowy, nadaremnie Gertruda z całą łagodnością kobiecą przedstawiała i prosiła; stosunek pomiędzy panem Steinlachem a jego żoną pogorszał się z każdym dniem, do czego przyczyniała się niemało przymusowa nieczynność, która panu Steinlachowi dawała czas do zastanawiania się i rozważania, jak niemniéj ponure nieprzyjazne postępowanie Sybilli.

Ryszard, który z interesami był nawet lepiéj obeznany niż sam właściciel fabryki, musiał pozostać w miejscu, aż do uregulowania i zbadania mnóstwa pretensji: a chociaż w głębi serca dawno już pogodził się z planem przyszłego życia, z trwogą unikał wszelkéj wzmianki o bliskiem rozłączeniu się, które koniecznie musiało nastąpić. I blade usta Malwiny nie wyrzekły zapytania: wiedziała co się stanie, wiedziała że się muszą rozłączyć, i co ją czeka. Ryszard i Malwina nigdy mniéj nie mówili ze sobą, jak właśnie teraz, gdy serca ich tak były przepełnione, i tylko niewyczerpane dowody dobroci Ryszarda, głębokie chociaż nieme wzruszenie, z jakiem przyjmowała je Malwina, dawniéj tak swobodna i naiwna w podobnych razach, oznaczały widoczną zmianę we wzajemnym ich obojgu stosunku. Noc nieszczęsna ze wszystkiemi swemi okropnościami nie zdołała zatrzeć błogiego nieznanego dotąd uczucia, które jak powiew wiosenny przeniknęło jéj serce, gdy Ryszard trzymał ją w swojem objęciu a potem oddalić się kazał. Wspomnienie to wróciło znowu w owéj samotnéj chwili, gdy wycieńczona cierpieniem i potrzebująca pociechy, przestała patrzeć na świat zewnętrzny i zwróciła oczy na wewnątrz. Z całego blasku przeszłości niczego nie żałowała tak bardzo, jak owych kilku minut, które w niéj rozwinęły tak błogie uczucie.

On wiedział co dla niego uczyniła, ile wycierpiała ale ani się domyślał, ile cierpiała teraz, gdy jego poważny wzrok unikał jéj spojrzenia. W jéj spojrzeniu bowiem malowała się troska i smutek; ów jasny promień, który nagle roztlił światło w jéj młodem sercu, zgasł już dawno, a niedzarzała się nigdy chwila samotnego spotkania, aby mógł zajaśnieć na nowo.

Sybilli okazywał jak zwykle uszanowanie, które miało zastąpić tkliwsze uczucie, jakiego bezskutecznie się domagała; nie mógł tego zapomnieć i przeboleć, że teraźniejszą jéj miłość, któréj mu dawniéj nie okazywała, podsycał nienaturalny wstręt ku najbliższym krewnym; że miłość ta, zamiast zmiękczyć jéj serce, czyniła je twardszem, nawet względem Malwiny. Zawsze a osobliwie teraz z zazdrością patrzyła na stosunek Ryszarda do rodziny Steinlachów, zwłaszcza do Malwiny, co też życie wspólne wkrótce obu stronom uczyniło nieznośnem. Ryszard był pierwszym, który uczuł potrzebę rozdziału, a od niego to wyszła propozycja, przez obie strony przyjęta z równem zadowoleniem, aby dla pana Steinlach i jego rodziny wyszukać pomieszkanie we wsi. Wprawdzie stara hrabina Amstetten i jéj synowie nie omieszkali, i to z zupełną szczerością, prosić aby nieszczęśliwa rodzina przeniosła się do nich, dopóki interesa nie zostaną uporządkowane, ale Georginia nie przyjęła téj ofiary. Paweł nigdy nie zrobił jéj żadnego wyrzutu, jednak nie mogła przytłumić w sobie palącego uczucia wstydu, ile razy spotkała się ze spojrzeniem tego człowieka, którego zaufanie tak ohydnie zdradziła.

Pomieszkanie w domu wójta, który zdecydował się odstąpić właścicielowi fabryki za umiarkowaną kwotę swoją świetlicę i dwie izdebki, dość ubogiem wydało się nowym mieszkańcom, przyzwyczajonym do lepszego. Chociaż jednak tu zbywało na wszelkiéj ozdobie i wygodzie, które niegdyś, przynajmniéj pani Georginia, uważała za konieczną potrzebę, to z drugiéj strony nie prześladował jéj ponury wzrok Sybilli, przed którym nawet w dniach szczęśliwszych uciekała. W tych ciasnych izdebkach mógł był zapanować pokój, gdyby nie wniesione i tutaj przeświadczenie o własnéj winie, i gdyby nie to, że w fałszywem pojęciu ulżenia sobie, jedno na drugie ciężar winy zwalić usiłowało. Wśród ciągłych sprzeczek i wzajemnego obwiniania się, mijał dzień po dniu, i małżeństwo które w pomyślnych okolicznościach było prawdziwie szczęśliwem, stawało się z każdą chwilą niezgodniejszem. Malwina była tutaj aniołem miłości i cierpliwości, gotowa zawsze pocieszać i pośredniczyć, starała się wszelkiemi siłami ulżyć trosk rodzicom, pojednać ich z projektem nowego, skromnego, pracowitego życia, cichą ożywionego wesołością. Ale wśród tych usiłowań, które często były bezskutecznemi, bladły coraz bardziéj jéj policzki i oczy blask traciły. Uśmiech jéj który dawniéj przeciskał się do serca jak promień słoneczny, teraz pobudzał do łez. Matka zresztą nie chciała ani słyszeć o pracy zarobkowéj.

Zdawało jéj się, i niepodobna było wybić jéj z głowy téj myśli, że piękna dziś tak nieszczęśliwa Malwina, powołaną jest do świetnego życia, że byłoby niesprawiedliwością, gdyby dziecko miało pokutować za winy rodziców. Ona sama postanawiała obchodzić się bez wszystkiego, zniknąć z przed oczu świata i pracować, lękała się tylko, aby jéj nie spotkał zarzut, że życie Malwiny ogołociła z wszelkiego wdzięku. Zachęcała więc hrabiego Feliksa do starania się o rękę Malwiny bardziéj jeszcze niż dawniéj, gdy była bogatą i próżną. Mówiła mu to otwarcie i dawała do zrozumienia, że powinien mieć nadzieję, chociaż ją odbierała mu Malwina innem jak niegdyś, bo nadto poważnem postępowaniem. Ale odkąd Malwina zmieniła się, odkąd częstsze zamyślenie i uśmiech bolesny zajęły miejsce jéj dawnéj wesołości, zniknął urok ów nadzwyczajny, który do niéj przykuwał Feliksa. Już sama ruina w stosunkach pieniężnych, która stała się niewątpliwą, nakazywała mu dobrze się zastanowić: uboga żona bowiem przyniosłaby mu w posagu konieczność wyrzeczenia się wielu przyjemności, i tytuł hrabiowsk na który tak liczył, zamieniłaby w martwy kapitał. Uczuwał teraz coraz wyraźniéj, że zalety zewnętrzne, które Malwinę odznaczały, to jest jéj młodość i piękność, jakoteż domniemane bogactwa, głównie skłoniły go do wyboru: że jedynie tylko osobiste wdzięki pięknéj panienki mogły uczynić mu to małżeństwo lekkiem i przyjemnem. Teraz jednak wszystko to zniknęło, zwodniczy blask złota zgasł, nagle słodki jéj uśmiech uleciał, a Feliks nie wiedział słowa czarodziejskiego aby go przywołać napowrót. Malwina zdawała się niepotrzebować go tak jak niegdyś w chwilach szczęśliwych, nie rozumiała jego pociechy, i pogorszała przykre jego położenie tem, że niedomyślając się jego zamiarów i zajęta całkiem nieszczęściem, które jéj rodziców dotkało, prawie nie zważała na niego. Pomimo pewnéj lekkomyślności i silnéj skłonności do rozkoszy życia był zanadto uczciwym, aby się miał cofnąć właśnie w téj chwili. Wprawdzie słowo go nie wiązało, ale dobrze pomiętał przeszłe swoje postępowanie, które mogło obudzić w rodzinie Steinlachów słuszne nadzieje.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH

PRZEZ

Aleksandra Dumasa (ojca) 1).

NEAPOL.

I.

Osmin i Zaida.

Zajechaliśmy do hotelu de la Vittoria, Marcin Zil jest typem doskonałego właściciela hotelu, jest to człowiek pełen gustu, pełen rozumu, znakomity antykwarjusz, amator obrazów, zapalony zbieracz chińszczyzny i autografów. Marcin Zil jest wszystkiem, tylko nie oberżystą. Mimo to hotel de la Vittoria jest najlepszym w Neapolu. Jak się to dzieje? Nie wiem!

Ale też hotel de la Vittoria leży w najpiękniejszéj stronie miasta. Otworzysz okno i widzisz Chiaja la Villa Reala, Pansilippe. Otwierasz drugie widzisz zatokę a na końcu widnokręgu, jakby okręt na kotwicy niebieskawą i poetyczną Kapreę. Otworzysz trzecie, oto święta Łucia ze swemi owocami morskiemi, ze swoim hałasem i nocną illuminacją.

Pokoje z których się widzi te wszystkie piękne, rzeczy są galeriami obrazów, gabinetami rzadkości, sklepami świecideł.

Zdaje mi się, że pan Marcin Zil, na to tylko przyjmuje u siebie podróżnych, żeby im pokazać skarby jakie posiada a dodatkowo daje im mieszkanie i żywi ich. Prawda, że kiedy wyjeżdżają z hotelu de la Vittoria, to muszą za wszystko zapłacić, że zapłata ta wynosi sto, pięćset, a nawet tysiąc franków czasami, ale to ich wina, po co żądali rachunku? Gdyby byli nie żądali, to możeby pan Marcin Zil, zatopiony w kontemplacji nad jakim obrazem, nad rozpoznaniem gatunku i wartości porcelany, albo odczytaniem zawiłego autografu zapomniał posłać im rachunku.

Owoż kiedy szanowny dey, wypędzony został z Algieru, przybył do Neapolu wioząc ze sobą swoje skarby i swój harem i uprzedzony rozgłośną sławą pana Marcina Zil, kazał się zawieźć prosto do hotelu de la Vittoria i wynajął trzy najwyższe piętra, to jest trzecie, czwarte i poddasze. Trzecie było dla oficerów i dla świty, czwarte dla siebie i dla swoich skarbów, poddasza dla swojego haremu.

Przybycie deya, było wielkiem szczęściem dla pana Marcina Zila, nie dla tego że Algierczyk wyda wiele pieniędzy w hotelu, ale dla tego że przywiózł z sobą mnóstwo bogatéj zbroi, kostiumów i brylantów.

Przy końcu tygodnia Hussein Pasza i pan Marcin Zil byli już najlepszymi przyjaciołmi w świecie, prawie się nie rozłączali. Kto ujrzał jednego z nich mógł być pewnym, że drugi zaraz się zjawi. Trwało to tak przez pięć miesięcy. Przez cały ten czas wyprawiano świetne uczty dla Jego Wysokości. Na jednym balu u księcia Cassaro, zobaczywszy jak panowie i panie tańczyli szalonego kotylliona, rzekł do księcia Tricasia, zięcia ministra spraw zagranicznych, dla czego będąc tak bogatym, zadaje sobie tyle trudu i tańczy sam?

Dey lubił bardzo te zabawy, bo bardzo był wrażliwym na piękności ale je pojmował po swojemu. Sąd o nich wydawał stosownie do tego jak były chude lub tłuste. Mawiał np.

— Pani ta nie warta trzech piastrów: pani ta warta tysiąc dukatów.

Pewnego dnia dowiedziano się z wielkiem zadziwieniem, że Hussein Pasza i pan Marcin Zil poróżnili się z sobą. Oto przyczyna tego rozdwojenia.

Pewnego poranku, kucharz Hussein-Paszy, prześliczny negr z Nubii, czarny jak atrament a lśkniący się jakby był pociągnięty pokostem, zeszedł do kuchni hotelowéj i zażądał największego noża, jaki jest w hotelu. Dyrygujący kuchnią dał mu egzemplarz niezwyczajny, na ośmnaście cali długi a na dwa szeroki, giętki jak floret a ostry jak brzytwa. Negr przypatrzył się dobrze temu instrumentowi i poszedł sobie napowrót na trzecie piętro. W kilka minut potem powrócił odnosząc nóż, i rzekł do naczelnego kucharza.

— Większego! większego!

Wtedy naczelny kucharz wyciągnął wszystkie szuflady i biorąc w rękę ogromny nóż, prawie jak topór, którego sam bardzo rzadko używał, pokazał go swojemu koledze. Ten obejrzał go równie starannie a potem kiwnąwszy głową, jakby chciał powiedzieć: „Hum! nie jest to jeszcze to, czego potrzebuję, ale dosyć już blisko“ poszedł na trzecie piętro.

Za kilka chwil powrócił przynosząc nóż i rzekł:

— Jeszcze większego!

— A na co u djabła potrzebujesz jeszcze większego noża?

— Potrzebuję! odpowiedział negr flegmatycznie.

— Ale na co?

— Uciąć głowę Osminowi.

— Co?... zawołał naczelny kucharz — uciąć głowę Osminowi?

— Uciąć głowę Osminowi.

— Osminowi, dowódzcy eunuchów Hussein-Paszy?

— Osminowi, którego dey tak kocha?

— Osminowi, którego dey tak kocha.

— Zwarjowałeś mój kochanku! Gdybyś uciął głowę Osminowi toby dey ciebie kazał zadusić.

— Jego Wielkość rozkazała mi.

— A do djabła! to co innego.

— Daj mi więc innego noża — powtarzał negr z uporem ślepego posłuszeństwa.

— Ale co takiego zrobił Osmin?

— Daj mi innego noża, jeszcze większego!

— Wprzód muszę wiedzieć, co takiego zawinił Osmin?

— Daj mi innego noża, jeszcze większego.

— No! dam ci taki nóż, jeżeli mi powiesz co zrobił Osmin.

— Zrobił dziurę w murze?

— W jakim murze?

— Od haremu.

— A daléj?

— Za murem była Zaida.

— Faworyta jego Wielkości?

— Faworyta jego Wielkości.

— I cóż?

— A cóż! mężczyzna wszedł do Zaidy.

— Tam do czarta!

— Daj mi więc dużego noża, żeby uciąć głowę Osminowi.

— A co za to będzie Zaidzie?

—Jego Wielkość popłynie na odnogę z workiem — w worku będzie zaszyta Zaida—jego Wielkość rzuci worek w morze... dobra noc Zaido!

— A kiedy to nastąpi?

— Kiedy co?

— Kiedy rzucą Zaidę w morze?

— Dzisiaj. Zaczniemy od Osmina a skończymy na Zaidzie.

— I ty podjąłeś się być egzekutorem.

— Jego Wielkość rozkazał mi—rzekł negr, prostując się z dumą.

— Ależ to należy do kata nie do ciebie.

— Jego wielkość nie miał czasu zabrać z sobą swojego kata, wziął tylko kucharza. Daj mi więc noża, żeby uciąć głowę Osminowi.

— Dobrze, dobrze! Poczekaj tu troszeczkę, pójdę ci poszukać takiego noża.

— Czekam, nie zapominaj!

Naczelny kucharz pobiegł do pana Marcina Zil i opowiedział mu co się dzieje na najwyższych piętrach. Pan Marcin Zil pobiegł do pana ministra policji i uprzedził go o tem. Pan minister kazał założyć konie do karety i pojechał do deya.

Zastał Hussein Paszę leżącego na sofie, palącego fajkę z długim cybuchem, z jedną nogą zgiętą pod siebie a drugą wyciągniętą, którą mu drapał delikatnie jeden niewolnik, a dwóch go wachlowało wachlarzem ze strusich piór.

Minister oddał mu trzy pokłony, jak przepisuje ceremoniał, dey kiwnął mu głową.

— Jego wielkość zechce wiedzieć, że jestem ministrem policji.

— Znam cię! odpowiedział dey.

— A zatem wasza wielkość domyśla się po co tu przyjechałem.

— Wcale się nie domyślam. Mimo to bądź pozdrowiony.

— Chcę przeszkodzić temu, żeby wasza wielkość nie popełniła zbrodni.

— Zbrodni? A jakiéj? rzekł dey, wyjmując z ust cybuch i spoglądając na ministra z niemem zadziwieniem.

— Jakiéj? wasza wysokość chce wiedzieć? Oto wasz. wys. ma zamiar kazać uciąć głowę Osminowi!

— Uciąć głowę Osminowi to nie zbrodnia.

— Wasza wielkość ma zamiar utopić Zaidę!

— Wrzucić Zaidę w morze nie jest zbrodnią.

— Jakto?.. to nie zbrodnia utopić Zaidę a zabić Osmina?

— Kupiłem Osmina za pięćset piastrów a Zaidę za tysiąc cekinów, jak kupiłem tę fajkę za sto dukatów.

— Co wasza wys. chce przez to rozumieć?

— Że, ponieważ ta fajka należy do mnie, to mam prawo rozbić ją na dziesięć, na dwadzieścia, na sto kawałków, na ile mi się podoba i nikt nie ma prawa mięszać się do tego.

I pasza stłukł fajkę i rozrzucił kawałki po pokoju.

— Z fajką wolno!.. ale Zaida, ale Osmin!..

— To mniéj niż fajka! odparł dey z powagą.

— Jak to? mniéj niż fajka? Człowiek mniéj niż fajka?.. Kobiéta mniéj niż fajka?

— Osmin nie człowiek!.. Zeida nie kobieta!... To niewolnicy! Każę uciąć głowę Osminowi — a Zaidę wrzucić do morza.

— Nie, nie można!

— Jak to nie? zawołał Hussein Pasza groźno.

— Nie! przynajmniéj w Neapolu!

— Czy wiesz Giaurze, jak ja się nazywam?

— Wasza wielkość nazywa się Hussein-Pasza.

— Psie chrześciański! czy wiesz kto ja jestem?

— Wasza wielkość jest ex-dey algierski, a ja rzeczywistym ministrem policji.

1) Miniona wojna Francji z Prussami przygłuszyła wszystkie inne wypadki społeczne i literackie. Nawet śmierć Dumas‘a przeszła prawie niepostrzeżona. Wszystkie nasze perjodyczne pisma zamieściły mniéj więcéj obszerne wspominki o nim. Dla przypomnienia lepiéj naszym czytelnikom tego znakomitego pisarza, dajemy znaczny ustęp z jego Wspomnień z podróży, w których najlepiéj uwydatniają się wszystkie jego zalety.

Redakcja.

— A to znaczy?

— To znaczy że każe waszą wiel. zaprowadzić do więzienia, jeżeli tak będziesz niegrzecznym. Czy rozumie to w. wiel. mój zacny panie? odpowiedział minister z najzimniejszą krwią.

— Do więzienia! mruknął pasza upadając na sofę.

— Do więzienia!

— Dobrze! Dziś wieczór opuszczam Neapol.

— Wasza wiel. jest wolny jak powietrze.

— Wielkie szczęście! mruknął dey.

— Ale pod jednym warunkiem.

— Są i warunki?

— Wasza wiel. przysięgnie mi na proroka, że się nic złego nie stanie ani Osminowi ani Zaidzie.

— Osmin i Zaida są moją własnością i zrobię z nimi co mi się będzie podobało.

— A więc wa. wiel. nie odjedzie.

— Co?... nie odjadę?

— Nie! dopóki mi wa. wiel. nie wyda Osmina i Zaidy.

— Nigdy! krzyknął dey.

— To ja ich sam wezmę.

— Zabierzesz mi ich?.... mojego eunucha i moją niewolnicę?

— Stąpiwszy na ziemię neapolitańską, niewolnica i eunuch stali się wolnymi. Nie odjedziesz z Neapolu dopóki Osmin i Zaida nie zostaną wydani sprawiedliwości naszej.

— A jeżeli ich nie wy dam, kto mi przeszkodzi odjechać?

— Ja.

— Pan?

Pasza położył rękę na sztylecie, minister uchwycił go za nią.

— Niech się wa. wiel. zbliży do okna i spojrzy na ulicę. Co tam widać przed bramą hotelu?

— Oddział żandarmów.

— Czy wie wasz. wielk. na co tam czeka oficer, który niemi dowodzi? Oto mojego znaku żeby wasz. wielk. zaprowadzić do więzienia.

— Do więzienia?... Chciałbym to widzieć.

— Zaraz zobaczy to sama wasza wielkość.

Minister dał znak. W minutę potem usłyszano na schodach ciężki chód i brzęk ostróg. Drzwi się otworzyły, oficer pokazał się na progu, z ręką prawą u kasku a lewą wyciągniętą wzdłuż.

— Gennaro! odezwał się do niego minister policji, gdybym ci kazał aresztować tego pana i zaprowadzić do więzienia, czy miałbyś co przeciwko temu?

— Nic a nic, panie ministrze!

— Czy wiesz że ten pan nazywa się Hussein-Pasza?

— Nie, nie wiedziałem.

— I że ten pan jest, ni mniéj ni więcéj jak dey'em algierskim.

— Co to jest takiego dey algierski?

— A co wasza wielkość? zapytał minister.

— Allah! wykrzyknął dey.

— Czy trzeba? rzekł Gennaro i wydobył z kieszeni parę kajdanków, ale o ile on zbliżał się do paszy o tyle pasza cofał się w tył.

— Nie trzeba! rzekł minister, jego wielkość będzie roztropny. Poszukaj tylko w hotelu niejakiego Osmina i niejakiéj Zaidy i zaprowadź oboje do bióra policji.

— A to znowu co?... ten człowiek wejdzie do mojego haremu!

— To nie człowiek! odpowiedział minister — to oficer od żandarmów!

— To wszystko jedno! Niech tylko otworzy drzwia....

— Jest na wszystko sposób — każ mu wa. wiel. wydać Osmina i Zaidę.

— I będą ukarani? zapytał się dey.

— Podług całéj surowości naszych praw.

— Przyrzekasz mi pan?

— Przysięgam waszéj wielkości.

— Ha! trzeba zrobić tak jak pan chcesz, kiedy inaczéj nie można.

— Chwała Bogu! Wiedziałem dobrze że wa. wiel. nie taki zły jak się wydajesz.

Hussein-Pasza klasnął w ręce; niewolnik uchylił drzwi ukryte w murze.

— Przyprowadź tu Osmina i Zaidę.

Niewolnik skrzyżował ręce na piersiach, schylił głowę i oddalił się nie wyrzekłszy ani słowa.

Eunuch, była to mała, tłuściutka kulka, miał ręce, nogi i twarz jak u kobiety.

Zaida była to śliczna Czerkieska; oczy, brwi i rzęsy podmalowane na czarno a paznokcie u rąk na różowo.

Spostrzegłszy Hussein-paszę eunuch upadł na kolana, Zaida podniosła głowę. Oczy paszy zaiskrzyły się, uchwycił znowu za sztylet. Osmin zbladł, Zaida uśmiechnęła się.

Minister stanął między winnymi i dey'em.

— Rób swoje! odezwał się do Gennara.

Gennaro zbliżył się do Osmina i Zaidy, przywołał wachmistrza i kazał mu włożyć im na ręce kajdanki.

Kiedy wychodzili z pokoju, dey westchnął jak lew. Minister policji stanął przy oknie, zobaczył jak więźnie wyśli z hotelu i wkrótce znikli na zakręcie ulicy.

— Teraz — odezwał się do dey'a — wasza wielkość może odjechać, kiedy mu się będzie podobało.

— Natychmiast! Nie chcę ani minuty dłużéj pozostać w tak dzikim kraju, jak Neapol!

— Szczęśliwéj drogi! rzekł minister.

— Niech cię diabli porwą! rzekł dey.

W godzinę potem Hussein-pasza już sobie najął galerę, we dwie godziny kazał zanieść na nią swoje skarby i zaprowadzić swój harem, a we trzy godziny udał się z całą swoją świtą nad morze. O północy rozpuszczono żagle i dey odpłynął, przeklinając kraj niewolników, gdzie nie wolno uciąć głowy eunuchowi ani uciąć własnéj niewolnicy.

Nazajutrz rano minister policji kazał przyprowadzić przed siebie więźniów i wyprowadzić z nich śledztwo. Przekonano się, że Osmin spał kiedy powinien był czuwać a Zaida czuwała, kiedy powinna była spać. Ale ponieważ w kodeksie neapolitańskim oba te wypadki nie były przewidziane, uwolniono ich zupełnie.

Ale ponieważ oboje byli teraz biedni i nie wiedzieli co z sobą począć, Osmin został kupcem pastelków serajowych, a Zaida panną bufetową.

Co się tycze dey'a algierskiego, miał on zrazu zamiar udania się do Anglji, gdzie chociaż nie wolno jest topić swoich żon, to przynajmniéj wolno je sprzedawać, ale zachorował w drodze i musiał wylądować w Liworno, gdzie jak każdy wie, umarł sobie bardzo szczęśliwie nie przebaczywszy do śmierci panu Zil, co dla chrześcianina może być bardzo szkodliwem, a z czego Turcy nic sobie nie robią.

II.

Koniec widma.

Byłem polecony panu Marcinowi Zil jako artysta. Wychwalałem jego galerję obrazów, pod niebiosa wynosiłem jego gabinet rzadkości i znacznie pomnożyłem jego zbiór autografów moim własnym podpisem. Wynikło ztąd, że pan Marcin Zil bardzo mię polubił. Miał jednę tylko wadę że do zapamiętałości tonął w pięknościach Orlanda Szalonego, i na żaden sposób nie mógł się przyzwyczaić do morza. To było przyczyną że na lądzie bardzo mało, a na morzu wcale się kucharstwem nie zajmował.

Owoż, po trzechmiesięcznéj nieobecności, pan Marcin Zil przywitał nas z niekłamaną radością, bo wieść o naszéj śmierci już się do Neapolu dostała.

Ponieważ do jego galerji przybyły dwa obrazy, do gabinetu rzadkości kilka nowych exemplarzy, a do zbioru autografów, podpis Byrona i Krystyny Szwedzkiéj, musiałem to wszystko obejrzeć wprzód, a potem dopiero prosić o mieszkanie.

Nie chodziło mi wcale o to żeby odpocząć. Będąc w Neapolu za wyszłym paszportem, mógł lada chwila rząd neapolitański wykryć moje inkognito i odesłać mię do Rzymu, zkąd przybyłem; trzeba więc było spieszyć się z obejrzeniem Neapolu.

Otóż Neapol, oprócz okolic, składa się z trzech ulic, po których ciągle chodzą i z pięciuset innych po których wcale nie chodzą.

Te trzy ulice nazywają się Chiaja, Toledo i Forcella, reszta pięciuset nie ma nazwiska. Jestto labirynt kreteński, mniéj minotaurem a więcéj lazaronami.

Trojakim sposobem można zwiedzić Neapol.

Piechotą, karrikolem (carricolo) (1) i karetą.

Piechotą można się wszędzie dostać, karrikolem prawie wszędzie, karetą tylko na owe trzy główne ulice.

Nie chciałem chodzić piechotą, bo się za wiele widzi rzeczy, nie chciałem jeździć karetą, bo się znowu za mało widzi. Pozostaje karrikolo pośrednie ogniwo między dwoma ostatecznościami. Wybrałem karrikolo.

Uczyniwszy to postanowienie, wezwałem do siebie pana Marcina Zil, który natychmiast przybył.

— Mój kochany gospodarzu, rzekłem do niego— postanowiłem zwiedzić Neapol karrikolem.

— Wybornie! odpowiedział pan Marcin. Karrikolo jest ekwipażem narodowym, sięgającym dalekiéj starożytności. Jest to *biga* (2). Rzymian. Bardzo mię to cieszy, że pan umiesz ocenić przymioty karrikola.

— Szanuję go bardzo! Ale chciałbym się dowiedzieć ile się płaci za karrikola miesięcznie.

— Nie najmuje się karrikola na miesiąc.

— No! to na tydzień.

— Ani na tydzień.

— To na dzień.

— Ani na dzień.

— A zatem jakże się wynajmuje karrikolo?

— Wsiada się do niego kiedy przejeżdża i mówi się: za jednego „karlina" (3).

(d. c. n.)

1) Ztąd zapewne polski wyraz — karykel.
2) Wóz o dwóch kołach.
3) Karlin około 25 groszy.

Dalszy ciąg opisu N. 35.

Dokończenie N. 25—26.

Drugą połowę kraty zaczyna się znów od oczek łańcuszka, dając na każdą pojedynczą kratkę, oczek 7-dm przyrobionych 1. o: ści:, w oczko luźne w poprzedzającym zędzie przybrane. Każde siedm luźnych, obrabia się 12 ocz: ści:, dobierając na środku 1 o: luźne.

Dwa takie dubeltowe rzędy, robi się tam i napowrót jednym ciągiem, poczem trzeba nitkę uciąć, i od lewéj strony zacząć nowy rząd oczek łań., 4. oczkami przyrobionemi 1 o. ści. w pierwsze oczko przybrane luźne. Podług powyżéj podanego sposobu, zrobić potrzeba 24. dubeltowych rzędów, zostawiwszy miéjsce na 10 c. długi otwór, przy ostatnim obrobieniu trzeba przeciwległe kraty złączyć oczami scisłemi. Przy robieniu 19-tego rzędu, środkiem przez długość 10 centy., łańcuszek robi się oddzielnie (nie przyrabiając za oczy luźne,) a następnie obrabia oczami ścisłemi. Wrabianie zielonych kratek wykonywa się następującym sposobem: przewrócić robotę na lewą stronę, potem zrobić*, 1. o. ści: przy najpierwszem spojeniu krat, 4 o. l., 3 stopniowanéj długości słup., zatrzymane jak w tunetańskiéj robocie na szydełku i zrobione jednem o. ści; potem 3 takież słupki w górną połowę kraty i 4 o: l: *. Gdy tło jest już zapełnione, przewraca się sakiewkę na stronę prawą, spaja poprzeczne brzegi o: ści:, kordonkiem szarym, a potem raz ścisło obrabia kor. zielonym. Sześciu zielonym kwastom za nagłówek, służą duże brązowe perełki. Obrączki mogą być brązowe grawirowane lub gładkie, zielonym kordonkiem obrobione.

N. 27 — 28. Sakiewka ze szlakiem i tłem w muszki.

Piękny deseń szlaku wraz z oznaczeniem potrzebnych kolorów, podajemy pod N. 28. Sakiewka składa się z dwóch, ścisłym ściegiem w poprzek robionych oddzielnych woreczków 7 i pół c. szer. a 9 c. długich, połączonych środkiem 9 c. długim, robionym słupkami *à jour*. Dla pomieszczenia 10-u kwadratów deseniu, potrzeba zacząć na o. 90, obrobić 3 razy kolorem lila, potem zrobić szlak i znów 30 rzędów tła lila. Muszki dodają się co trzecie obrobienie, przeciągając co pięć ści. o. szóstą pentelkę przez dwa rzędy, wydobywając ją od spodu i dopiero zrabiając. Środek stanowi 22 rzędy słupków, robionych tam i napowrót. Szerokie kordonkiem obrobione obrączki, zakłada się przed przyrobieniem drugiéj połowy woreczka. Lila kwasty są okręcone w górze żółtym kordonkiem.

N. 29. Kostium ze spódnicą w pasy.

Gładka spódnica bastowego kostiumu w kolorze „écru“ oszyta jest u dołu na 40 c. długości, materją w pasy czarne. Zamiast gładkiego przyszycia, można dać plisowaną szeroką falbanę. Stanik gładki, karoczek z przodu gładki, z tyłu w kontrafałdy ułożony na które dodaje się 38 cent. szerokości, Zwierzchnia spódniczka kraje się na sposób zwykłéj spódniczki w kliny, dając 86 c. długości tylnéj, 70 centy. przedniéj a 320 c. dolnego obwodu.

Garnirunek składa się z jedwabnéj frendzli, plis skośnych, jedna na drugą zachodzących, i przestębnowanego plisowania.

N. 30. Parasolik z plisowaniem i falbaną.

Przybranie może być w tymże co parasolik kolorze, albo też w ciemniejszym odcieniu. Najpierw daje się u saméj góry rozeta z siepaną frendzlą, daléj środkiem naszycie plisek skośnych, a nakoniec u dołu fałdowana falbana, także siepaną frendzlą zakończona.

N. 31. Spacerowy parasolik w dwóch odcieniach.

Górna część parasolika i w festony naszyte falbanki w ząbki wycinane, są koloru jaśniejszego, zaś część dolna pokryta materją ciemniejszą.

N. 32. Parasolik z laską garnirowany plisowaniem.

Parasolik z płótna w kolorze „écru“ oszyty jest szerokiem plisowaniem, tak u dołu jak i w górze koroneczką zakończonem. Nagłówek plisowania powinien być przestębnowany.

N. 33 — 34. Medaljony tiulowe wyszywane.

Wyszycie na tiulu, coraz więcej wchodzi w modę i upowszechnia się. Nietylko artykuły bielizny są w ten sposób przyozdobione, ale nawet kapy na poduszki i do przykrycia łóżek, robią się tiulowe, ze szlakami i tłem, odpowiednim deseniem wyszytemi. N. 33. i 34, służyć może nie tylko do wyszycia tła, ale także na medaljony, do przyozdobienia batystowych lub muślinowych drobnych przedmiotów bielizny.

N. 35 — 36. Dwa brzegi do sukien, fartuszków, parasolików.

Tło „écru“ ścieg dziergany.

Ten rodzaj dziergania, dobrze się wydaje tylko na materjałach mięsistych i nabitych; zwłaszcza na tle „écru“ dobrze odbija dzierganie białą kręconą bawełną lub brązową włóczką.



Ubrania podróżne i do zwiedzenia gór.

N. 1. Ubranie do zwiedzania gór. N. 2. Kostium podróżny. N. 3. Ubranie ze stanikiem z odwiniętemi klapkami i karoczkiem.

N. 37. Okrągły kapelusz z wązkim rondkiem.

Raczéj owalny, niż okrągły kapelusz, ma główkę dość wysoką, dwa razy riuszą z materji brązowéj ogarnirowaną. Z boku przypięte kwiaty ciemno pąsowe i pęk morskiéj trawy.

N. 38. Kapelusz okrągły Pamela.

Kapelusz z białéj słomy, formy tak dziś upowszechnionéj, ma boki zagięte, główkę dość wysoką, śpiczastą, otoczoną skręcaną gazą i wstążką aksamitną. Na wierzchu upięcie z gazy, aksamitu i kłosów.

N. 39. Duży okrągły kapelusz.

Dobrze zasłaniający od słońca kapelusz, ma główkę szeroką i płaską. Ubrany jest ciężką rypsową wstążką palja, kłosami, kwiatem ze słomy i bławatkami.

Opis N. 36.

N. 1 — 3. Ubranie do podróży i spacerów w górach.

N. 1. Ubranie do spaceru w górach.

Ten praktycyny kostium, składa się z długich majtek i sukni z materyi nie przemakalnéj, do podpinania urządzonéj. Majtki przykrojone są podług formy zwykłéj, tylko szersze i o tyle dłuższe, żeby do kostek dochodziły, Zwierzchnia suknia ma formę płaszczyka do ziemi dochodzącego, zapomocą zaś guzików albo tasiemek, urządzona jest do podpinania; wstanie obciska się ją paskiem. Rękawy długie obcisłe. Pod spód bierze się krótką spódniczkę, z miękkiéj i ciepłéj białéj flanelki. Model odrobiony jest z materjału z pasowanym szlakiem i frendzlą kręconą, które w sposób na rysunku wskazany użyte są do przybrania sukni. Ciepły pled jest paskiem przepięty i przewieszony na nim przez ramię. Duży okrągły kapelusz odrobiony być może za słomki, z ceraty, albo z szyszek jodłowych. Kołnierzyk i mankietki płócienne, rękawiczki własnej roboty, z płótna „êcru”. W ręku laska, albo parasolik z mocną laską do podpierania.

N. 2. Ubranie podróżne z płaszczykiem z peleryną.

Pod płaszczyk na guziki zapinany, bierze się tylko, spódniczkę nie dochodzącą do ziemi, z tegoż samego materjału. Model z płótna „écru”, przybrany jest plisami z białą wypustką, sutaszem wyszytemi. Duży słomkowy kapelusz ubrany wstążką, parasolik z płótna „écru” z mocną laską. Torebka podróżna przez ramię, albo do pasa przywieszona.

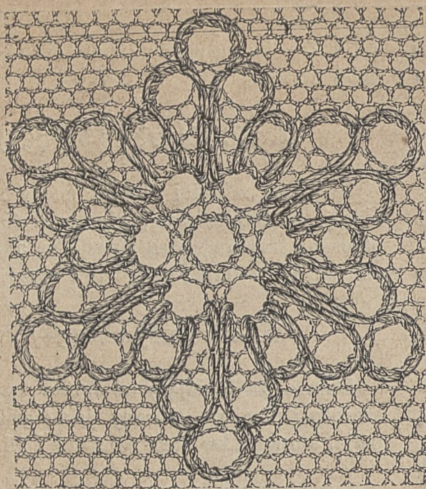
N. 3. Ubranie ze stanikiem do figury z klapkami.

Kostium w kolorze żółtawo niewarowym oszyty jest u dołu kilku pliskami białemi lub wrzucik. Stanik z klapkami i karoczkiem, także pliskami ubrany, zapina się równie jak i spódnica na guziczki, Kapelusik mały okrągły, z woalikiem z gazy do prania, jasnéj, pół wełnianéj.

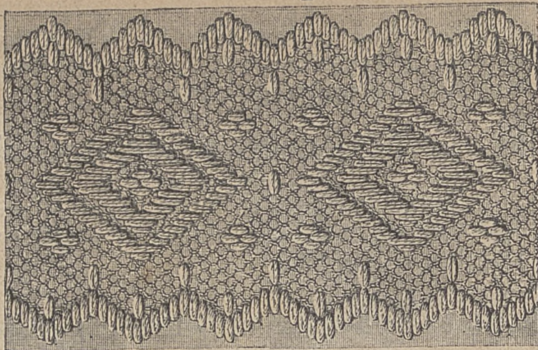
N. 4—13. Desenie szlaków i tła.

Wywodzenie i wyszywanie na tiulu.

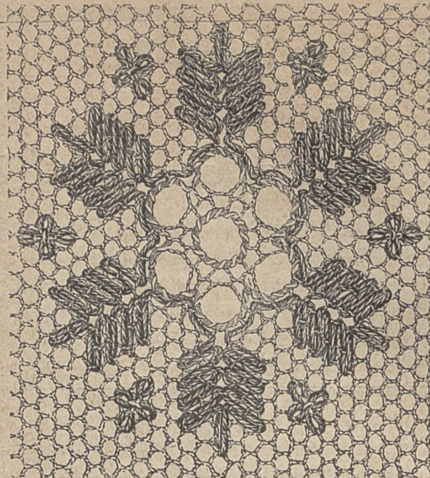
Podajemy rozmaite wzoru ładnych robót na tiulu, które z powodu łatwości i prędkiego wykonania, coraz bardziéj są upowszechniane. Rysunek 4 i 13 podaje wzór wstawki i tła, na tiulu muślinem podłożonym. N.



N. 5. Deseń do wywodzenia tiulowych firanek.



N. 4. Deseń wyszywany na tiulu z muślinowem podłożeniem

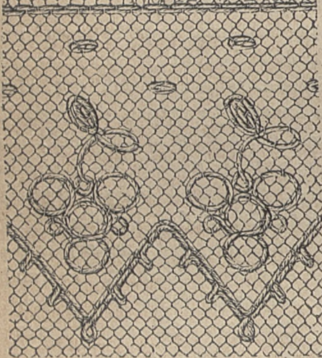


N. 6. Deseń do wywodzenia tiulowych firanek.

12 stosownie do gustu, może być na samym tiulu, lub z podłożeniem muślinu odrobiony. Różnice, zachodzące w wyszyciu, są na każdym wzorze zrozumiale wskazane, dodamy tylko że tiul powinien być dobrany w najlepszym gatunku i w odpowiedniéj deseniowi i przeznaczeniu gęstości. Daléj nadmieniamy, że pojedyncze gwiazdy N. 5 i 6 i bukiet N. 7. mogą być użyte jako szlak, z dodaniem zębów półokrągłych, płaskich lub śpiczastych wązkim szlaczkiem odznaczonych, jak na N. 8 lub 11.

N. 14. Narożnik do kołnierzyka.

ryc. 12 w Ty. Mód. N. 37.



N. 8. Deseń do wyszycia szlaku na tiulowych firankach, woalkach itd.

Dzierganie, ścieg przewłóczony, łańcuszkowy i wiązanie gipiurowe.

N. 15. Narożnik do kołnierzyka.

ryc. 13. w Tyg. Mód N. 37.

Haft gipiurowy.

N. 16. Postument składany do koszyczka,

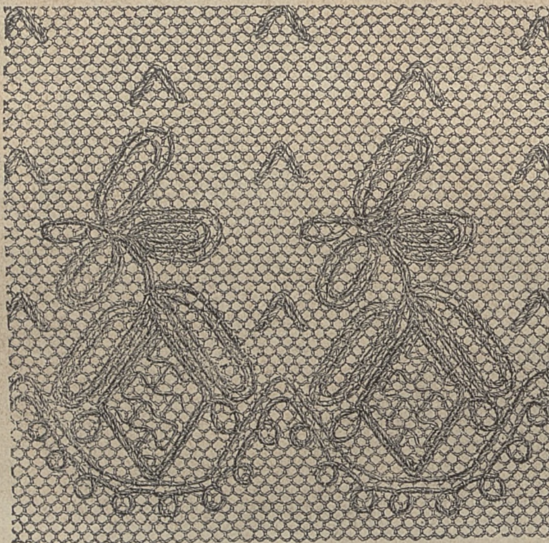
podany w N. 37 Tygod. rycina 20.

N. 17 Dno do tegoż koszyczka.

N. 18 — 20. Łóżeczko dla dzieci składane.

Desenie do wyszycia na tiulu obéjrzeć na arkuszu z deseniami do haftu.

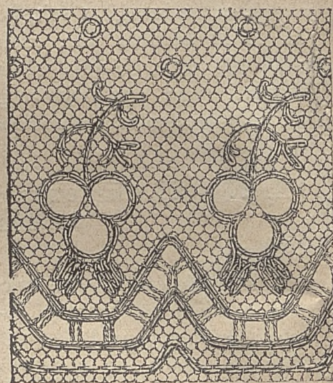
Łóżeczko łatwo dające się składać i zwinąć, szczególnie dogodne jest do podróży. Łatwy do odrobienia postument, może zrobiony być z trzciny zwyczajnéj lub bambusowej; sztabki poprzeczne trzymają się na śrubach, przyczem, łóżeczko łatwo rozebrać i zwinąć można. Materacowa, wisząca kolebka, urządza się z mocnéj jedwabnéj, albo wełnianéj meblowéj materyi; w środek daje się watę, albo flanelę i przestębnowywa w kratkę. Postument modelu jest ciemno lakierowany; materacyk z materyi niebieskiéj. Festony z muślinu, są ozdobione medaljonami, na tiulu haftowanemi, i oszyte u dołu koronką, lub szlakiem tiulowym, w górze zaś zakończone bufą, wstążką podwleczoną. Odpowiednie festonom firanki, zawieszone są na pręcie, na ten cel do łóżeczka przyśrubowanym. Tak numer dzisiejszy z drzeworytami, jak i arkusz dodatkowy z deseniami, podają liczny dobór szlaków i medaljonów. Te ostatnie oprócz dziergania zamocującego brzegi, mogą jeszcze, mieć dodany wązki szlaczek wokoło.



N. 7. Bukiet do wyszywania tiulowych firanek.

N. 21. Kołderka do kolebki albo do wózka, z medaljonami z frywolitek.

Cienkie frywolitkowe rozety i medaljony, posłużyć mogą do przyozdobienia kołderki do wózka, w którym dzieciątko odbywa codzienne spacery. Kołderka z owalnie ściętemi rogami, jest z materyi lekko podwatowanéj i fularem podszytéj; brzeg otacza riusza z materyi, od dołu oszyta frywolitkami. Sposób przepikowania kołderki i naszycia frywolitek, wskazany jest na rysunku.



N. 9. Deseń do wyszycia szlaku na tiulowych firankach, woalkach itd.

N. 22. Powijak. Robota szydełkowa.

Deseń na to rycina 23 w Ty. Mód. N 37.

Materjał: Estramadura N. 5 i gruba kręcona bawełna pąsowa. Powijak mający 130 cen, długości a 16 c: szerokości zaczyna się na oczek 7-dm od końca śpiczastego, w tasiemki do wiązania opatrzonego. Idący brzegiem szlaczek z kwadratów, robi się jednocześnie z powijakiem; przez dodanie słupków podwójnych skośnie na wierzchu przewłóczonych. Scieg jest zwyczajny ścisły, tam i napowrót robiony, zabierając zawsze za obiedwie nitki łańcuszka oczek, i przybierając przy każdym obrobieniu, jedno oko na początku drugie na końcu, dopókąd nie dojdziemy do ocz.57, od których robi się ciągle równo aż do końca. Obrobiwszy trzy pierwsze razy, zaczynają się kwadraty, pamiętając żeby do końca przybierania, oprócz oka przybranego, robić zawsze na początku i przy końcu 3 oczy gładko ściegiem ścisłym. Pomiędzy słupkami powinno być w kwadracie zawsze 3 oczy gładkie. Ponieważ na samym rogu musi być jeden kwadrat tak więc odrobiwszy 3 razy, damy nad 4 tym. okiem od brzegu (oprócz przybranego) 1 sł: dwa razy nawijany, który przyczepiemy w środkowe oko



N. 10. Szlak na firanki tiulowe, woalki itd.



N. 12. Deseń skośno wyszyty na szmizetki tiulowe, wstawki do sukienek białych dla



N. 13. Deseń do wyszycia szmizetek tiulowych, sukienek do chrztu na podwleczeniu muślinowem.



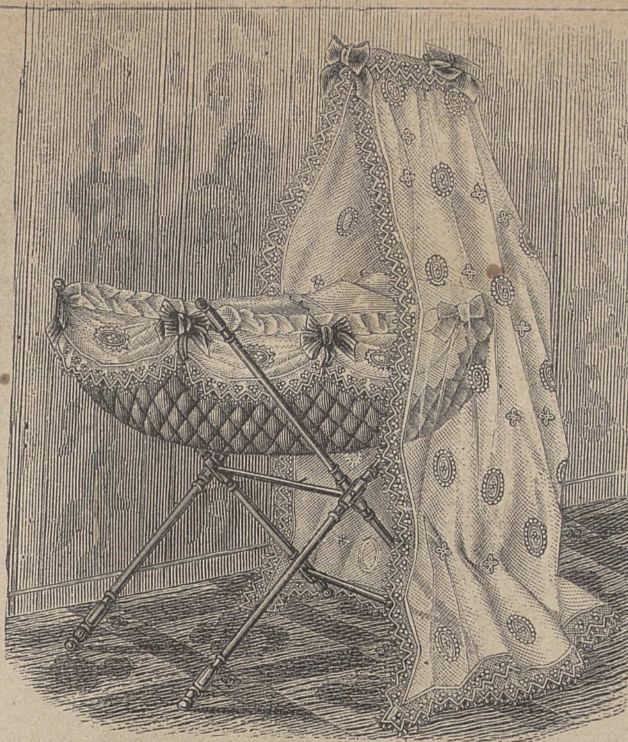
N. 14. Narożnik [d]o kołnierzyka ryc. [1]2 w Tyg. Mód N. 37.

przed ostaniego rzędu, (za nitki oka oddzielające rzędy,) potem 3 oczka gładko i znów nad 4tem słupek, zachwycony u dołu za te same nitki co poprzedni, resztę oczek gładko. Obrobiwszy raz gładko, w następnym rzędzie damy słupków 4 ry. z których dwa środkowe będą u góry jednym okiem spojone, u dołu wzięte w te same oczy co dwa poprzednie, przez co utworzą kratę. Dwa brzeżne słupki będą u dołu w 1 oczko spojone, a u góry 3 oczkami rozdzielone od środkowych. Ażeby uniknąć niepotrzebnego rozszerzania, zawsze oko zostające poniżej słupka, zostawia się luźno. W 3-cim obrobieniu słupków, mieć ich powinniśmy 6 z których 4 środkowe będą w górze złączone, u dołu brane w te same oczy co 4 poprzedzające, brzeżne zaś od góry otwarte. W następnych rzędach, będzie już odtąd tylko po sł: 3 z każdego brzegu, zawse dawane w taki sposób, iżby tworzyły dopełnienie kraty zaczętéj i początek następującéj, zostawiając trzy oczy z brzegu oprócz przybrania. Gdy dojdziemy do oczek 57, przybieranie się skończy, a następnie po brzegach, robić się będzie tylko po 2 sł: raz w górze, raz u dołu połączone.

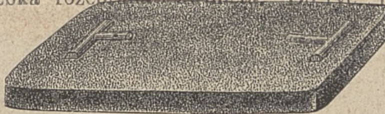
Po skończeniu obrabia się brzegi powijaka bawełną pąsową, zabierając głęboko co ścieg 4. Próbkę naturalnéj wielkości przedstawia ryc: 23 w T. Mód N. 37.

N. 16. Postument do koszyka ryc. 20 w T. Mód N. 37.

Opisy do rycin od N. 23 do 27 na dodatku z krojami.



N. 18: Kolebka składana. Zobacz ryc. 19 i 20 i desenie do [illegible] —12.



N. 20. Kolebka rozebrana i zwinięta. Do ryc. 18 i 19.

N. 17. Dolne urządzenie koszyka ryc. 20 w Tyg. Mód N. 37.

N. 30. Rozeta z frywolitek, do tegoż postumentu.

Opisy do rycin 31, 32 i 33 na dodatku z krojami.

N. 34. Kokarda do włosów lub do kołnierzyka.

Na kokardę do włosów, bierze się tak aksamitkę jak i wstążkę, niewiele szerszą jak na wzorze; do kołnierzyka szersze być powinny. Aksamitka może być czarna do wszelkich kolorów, albo w ciemniéjszym odcieniu koloru tego samego co wstążka. Koronka zarówno jest stosowna czarna jak i biała.



N. 15. Narożnik do kołnierzyka ryc. 13 w N. 37 Tyg. Mód.

N. 19. Kolebka złożona, Do ryc. 18.

N. 35 i 36. Dwa rodzaje firanek i rolet do okien.

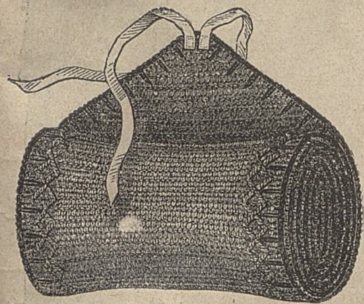
Rozmaite desenie podane są na arkuszu z formami.

N. 35. Firanka z lambrekiną i roleta ze szlakiem.

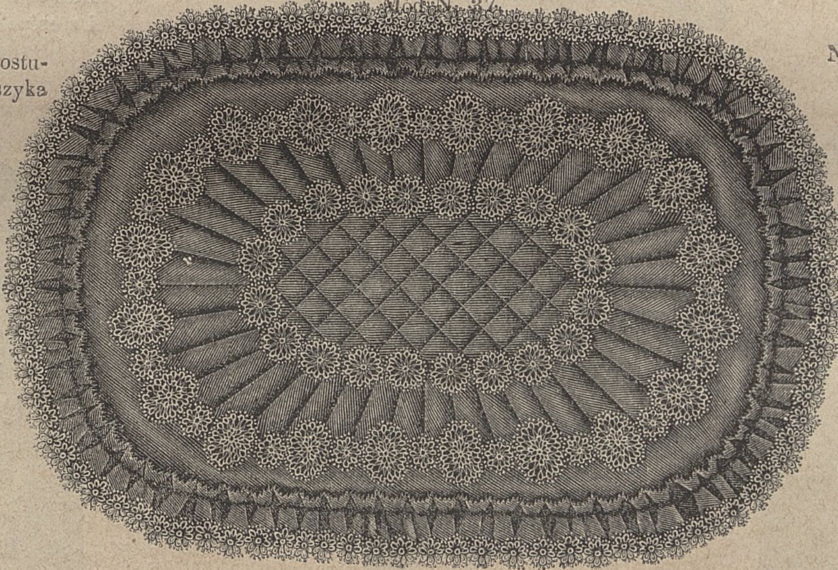
Na haftowanych muślinowych firankach, dodane jest upięcie z kolorowego rypsu, lub innéj odpowiedniéj meblom tkaniny. Obadwa spuszczone końce mają szlak z gobeliny, lub haftowany, z aplikacją sukna, albo też sutaszem wyszyty. Do lambrekiny dodaje się szerokie obłożenie w jaśniéjszym kolorze, z materyi jedwabnéj lub wełnianéj, wyszyte sznurkiem, frendzla i kwasty podług wskazania na rysunku.

Roleta z cienkiego szyrtyngu, zakończona jest szlakiem, którego deseń w połowie szerokości i sposób odrobienia, podany jest na arkuszu dodatkowym rycina 1-a. Brakującą dolną część deseniu, łatwo podług wzmiankowanego wzoru dopełnić.

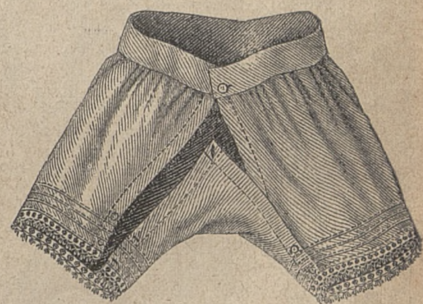
N. 28. Fartuszek z karoczkiem.



N. 22. Powijak szydełkową robotą, zobacz ryc. 23 w Tyg. Mód N. 37.



N. 21. Kołderka do kolebki z medaljonami frywolitowemi.



N. 23. Majteczki dla dzieci od lat trzech.

Prosty kawałek perkalu czy płótna, écru lub białego, 100 c: szeroki 50 c: długi stanowi fartuszek, który się w górze przymarszcza i wszywa do wstawki haftowanéj 4 c: szerokiéj któréj przez stosowne zaszycia nadaje się formę karczka. Takiż sam haft jak na wstawce, powtórzony jest na fartuszku u dołu. Batystowa falbanka szlaczkiem lub koroneczką, oszyta zakończa karczek i fartuszek.

Zeszycia przykrywa plisa stębnowana.



N. 24. Kaftanik z podłużnym garnirunkiem. Krój na dodatku N. VII Fig. 14—16.



N. 26. Sukienka do chrztu ze wstawką gipiurową lub tiulową wyszywaną. Krój w dodatku N. IV Fig. 9—11.



N. 25. Kaftaniczek, z kwadratowym garnirunkiem. Krój w dodatku N. VII Fig. 14 do 16.

N. 36. Okno z kolorową firanką i roletą.

Firanki te z kolorowego, meblowego perkalu, mają oszycie z takiéj że samej riuszy. Zamiast firanek pod spodem podszyty jest szlak haftowany, 8 — 10 cent. szeroki. Bogaty haft na rolecie stanowi arabeska: przezroczysto, sposobem gipiurowym

N. 29. Rozeta do postumentu do cygar. którego rysunek ryc. 25 i opis podany w N. 37 Tyg. Mód. Wyszycie ściegiem długim przewłóczonym.



N. 27. Fartuszek bluzkowy. Krój w dodatku N. V Fig. 12.



N. 28. Fartuszek bluzkowy z kanciastym karczkiem.

haftowana. Dużego jéj deseniu podać nie możemy dla braku miejsca; każda jednak osoba z rysunkiem obeznana, z łatwością do odpowiednich rolecie rozmiarów, załączony wzór powiększy.



N. 29. Rozeta wyszywana luźnym ściegiem do cygarniczki rycina 25 w Tygodniku Mód N. 37.

N. 31 i 32. Ubranie dla panienek od 8 do 12 lat, złożone ze spódniczki i kaftanika z karoczkiem. Krój na dodatku N. IX. Fig. 21—26.

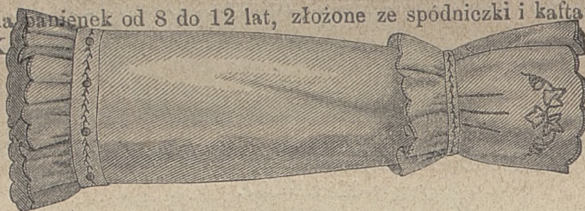
Opis N. 37.

N. 1. Pelerynka tiulowa z rękawkami, garnirowana gipiurą.

Krój na dodatku N. X. Fig: 27.

N. 2. Kaftanik luźny tiulowy.

Krój: jak do ryciny 10 — 12 w Tygodniku Mód N. 22.



N. 33. Długa rękawiczka dla dzieci. Krój w dodatku N. XI Fig. 28 i 29.

N. 7—11. Mężkie kołnierzyki i krawaty.

Krój w dodatku N. II i III. Fig. 5—8.

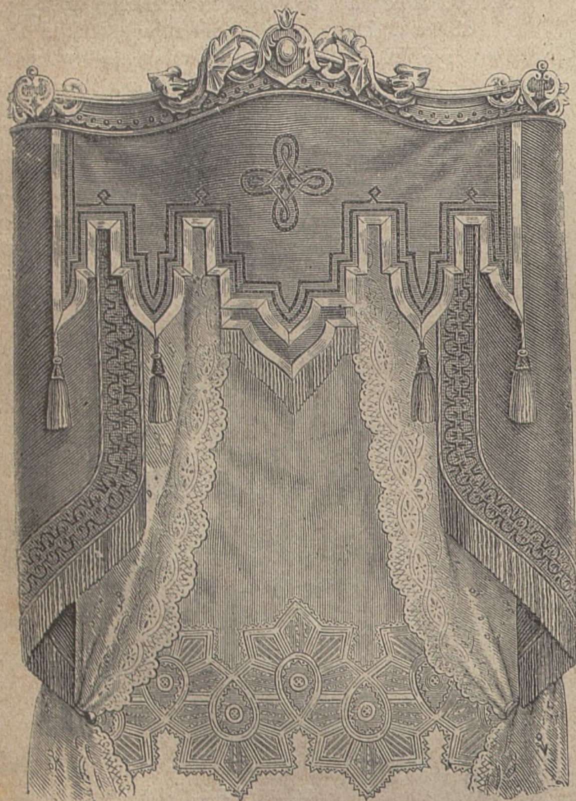
Oprócz dwóch opisanych na arkuszu dodatkowym kołnierzyków, przypinanych do pasków przy koszuli, po-



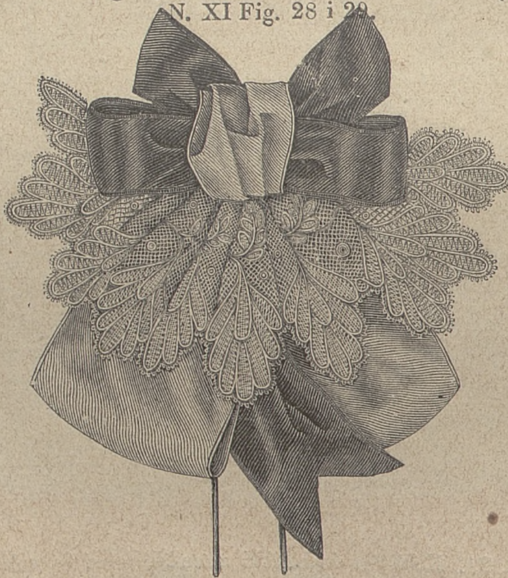
N. 30. Rozeta frywolitowa do cygarniczki rycina 25 w N. 37 Tyg. Mód.

dajemy 5 różnych najświeższych rodzai krawatów, które po większéj części bywają raz na zawsze ułożone i do foremki zwanéj „Humbug" przymocowane. Foremka taka robi się z cienkiéj tektury, oszywa materją i zaopatruje w elastyczne uszka do przypinania.

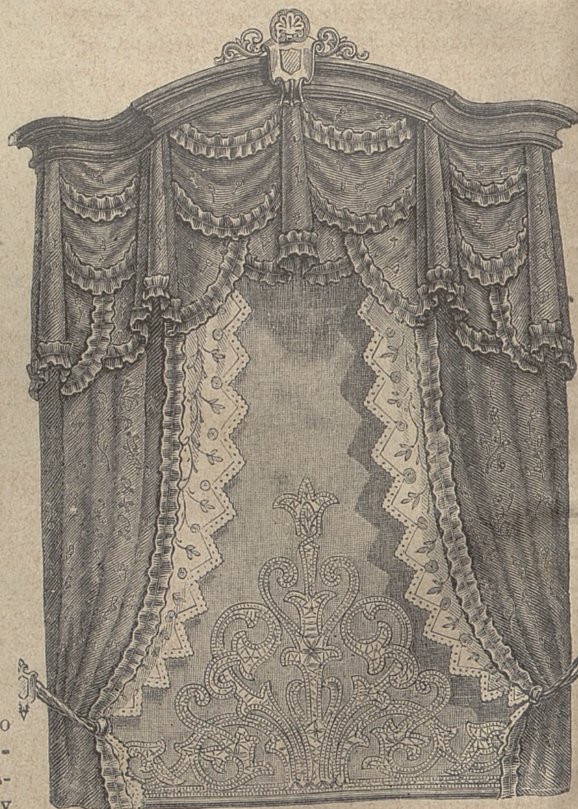
N. 9. Krawat ten nie jest wiązany, tylko upięty na foremce. Końce robią się szersze a kokardy węższe, osobno do foremki przyczepione i węzłem przepięte. Krawat zarówno być może z materji w dobrym gatunku, jak i z crêpe de chine.



N. 35. Okno z firanką, lambrekiną i roletą.



N. 34. Kokarda do włosów lub kołnierzyka.



N. 36. Okno z firanką i roletą z wyszyciem arabeskowym.

Kaftanik który w N. 22 podaliśmy paskiem przepasany, tu odrobiony jest z tiulu deseniowego i puszczony luźno na sukni pod szyję, przybranéj szeroką szarfą. Wyraźnie się tu także uwydatnia nie zwykła forma rękawa, z przedłużoną i śpiczasto zakończoną spodnią połową. Kaftanik oszyty jest koronką 10 c: szeroką, a nad nią o 3 c: odległe dana wstawka 4: c: szeroka, którą podwlec można wstążką kolorową.

Kapelusz z wysoką główką z białej brukselskiéj słomki zwraca uwagę swieżością upięcia ze wstążki, koronki i kwiatów.

N. 3. Długa sukienka dla dziecka z paskiem.

krój N. IV. Fig. 9 — 11.

N. 4. Suknia muślinowa, naszyta pliskami płóciennemi.

Skromny, a swieży i ładny garnirunek sukni muślinowej, stanowią wązkie płócienne, stębnowane pliski, albo w muślinie zaszyte zakładki, lub na koniec jedne i drugie, dawane na przemian. W górze nad wolantem, jako też na staniku i i rękawach, oprócz plisék naszyty jest gładko wązki szlaczek, dziergany, albo wązka obrębiona riusza.

N. 5. Przykrycie dla dziecka. Wywodzenie na tiulu.

Desenie w dodatku do N. 36 Tyg. Mód.

Na lekkie przykrycie dla dziecięcia na swieżem powietrzu, niema nic ładniejszego nad koronkę lub tiul wyszywany, na jasnéj jedwabnéj podszewce. Wzór podaje taką kołderkę tiulową, któréj tło wyszyte jest w bukiety i gwiazdki pojedyncze, wązkim szlaczkiem zakończone. Garnirunek stanowi szeroka, w. odpowiedni deseń wycerowana falbana, któréj zęby zakończone są, albo przydzierganą prawdziwą koroneczką, albo tasiemeczką i ząbkami koronkowemi. Szczególniéj zalecamy rysunek 7 i 11 w N. 36 Tygodnika Mód do wyszycia na kołderce, która stanowić może bardzo ładny i stosowny podarunek do chrztu. Bukiet N. 7 wyszywać można na falbanie, zakończonéj dużemi śpiczastemi zębami z dodaniem wązkiego szlaczku, w tym rodzaju jaki przedstawia rysunek 11, który także na powyższy cel stosowny.

N. 10. Krawat wiązany.

Do rannego lub letniego ubrania, najwięcéj używane są krawaty wiązane z crêpe de chine w prążki jedwabne, które otaczają szyję i z przodu raz tylko się przewiązują, jak to jest wskazane na rysunku. Wzór ma 60 cent. długości a 19 cent. szerokości, jest skośny i stębnówką obrębiony.

N. 11. Krawat szalowy.

Ten rodzaj krawatów ciągle jest używany; końce proste 8—10 c. szerokie, są we dwoje składane i z brzegów siepaną frendzlą zakończone; kokardy powinny być węższe.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 37 T. Mód.



J. A. Weger, sc.